Nr. 42. Poznań, dnia 20 Października 1907 r. Rok XI.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 35. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Ś. p. Dr. Władysław Łebiński.

W środę dnia 9. b. m. umarł opatrzony Sakramentami św. ś. p. Władysław Łebiński, naczelny redaktor „Dziennika Poznańskiego.“

Na innem miejscu podajemy życiorys zmarłego. Tutaj pragniemy złożyć hołd człowiekowi zacnemu, dziennikarzowi, nie goniącemu za czczym poklaskiem mas, lecz w twardej często niewdzięcznej służbie stale i wytrwale broniącemu tych przekonań i uczuć narodowych i politycznych, które każdy prawy Polak, kochający kraj i naród i dbały o zwycięstwo dobrej sprawy, w piersi swej chowa i w czynach objawiać ma obowiązek.

Sp. Władysław Łebiński był poważnym człowiekiem i wytrawnym politykiem. Wyniesiony na czoło pisma, przeznaczonego dla uświadomionej narodowo i politycznie inteligencyi, był wrogiem taniego frazesu i jałowej deklamacyi. Sam czynny i pracowity, w czynach i pracy zbiorowej upatrywał zbawienie społeczeństwa. Sam gorący lecz rozumny patryota, do gorącej, lecz rozumnej miłości narodu nawoływał. Umiarkowany w tonie, twardy był, gdy chodziło o rzecz. Nie ustępował przed nieuzasadnionemi pretensyami, lecz nie stawiał żądań, o których niepowodzeniu z góry był przeświadczony.

Był to mąż umysłu jasnego, oryentujący się w sytuacyi szybko i pewno, bezstronny w ocenianiu rzeczy i ludzi. Każdy, kto miał rzeczywiście coś do powiedzenia publiczności, znajdował uprzejmą gościnę w łamach „Dziennika.“

Utalentowany publicysta, przeświadczony w słuszności dróg i sposobów, jakiemi się posługiwał, niekiedy ostro zwalczał odmienne zapatrywania. To był jeden z powodów, który mu przysparzał nieprzyjaciół, lubo wyznać należy, że i jego nie szczędzono. Jako realista, liczący się z rzeczywistością, mierzący zamiary według sił i kierujący się zasadą, że pewniejszym przewodnikiem w polityce rozum odważający niż mniej krytyczne uczucie, musiał niekiedy kolidować i z szerszemi warstwami społeczeństwa, zdenerwowanego nużącą i wyczerpującą walką, musiał wzbudzać niekiedy niechęć w tych kołach, gdzie gorące uczucie polskie wyostrzyło się niepomiernie w walce zaciętej, gdzie przebrzmiewały czasami silne akcenty niechęci rasowej, przeciw której zmarły zawsze występował.

W przełomowej chwili zszedł śp. Władysław Łebiński z widowni politycznej. Społeczeństwo traci w nim gorliwego obrońcę swych świętych i nieprzedawnionych praw, naród gorącego patryotę, kraj i kościół wiernego syna. Wielką stratę ponosi szczególniej ten wielki odłam społeczeństwa, który w twórczej, lecz spokojnej pracy na wszystkich polach życia upatruje zadatek lepszej przyszłości narodu.

Umarł mąż niepospolity. Niech odpoczywa w spokoju wiecznym!

Ciężko strapionej rodzinie na tej drodze przesyłamy słowa najgłębszego współczucia.

Ustawy wyjątkowe.

Nowe zawisły chmury nad naszem społeczeństwem. Z dwóch stron ma uderzyć w nas grom. Ze strony sejmu pruskiego w postaci ustawy o wywłaszczeniu, ze strony parlamentu w postaci wydania zebrań naszych i stowarzyszeń na łaskę i niełaskę uznania organów policyjnych.

Oba projekty są dotychczas nieznane w swej faktycznej osnowie. To, co o nich wiemy, wiemy z gazet, gdzie na powyższe tematy wre polemika za i przeciw.

Wiadomości te oczywiście do głębi poruszyły społeczeństwo nasze. W prasie naszej pojawiły się plany, aby urządzać wiece protestujące tak przeciw projektowi o wywłaszczeniu, jak przeciw klauzuli antypolskiej, mającej być zamieszczoną w nowej ustawie o zebraniach i stowarzyszeniach. Protesty są dobre, jeżeli jest przeciw czemu protestować. Tymczasem jednak nic konkretnego nie wiemy jeszcze, lubo z tego, co już przesiąkło do publicznej wiadomości, możemy z niejaką pewnością wnosić, że w miarodajnych kołach bardzo pilnie się nami zajmują. Mimo to nie wszystko idzie rządowi po myśli. Oba projekty, tak jak z jednej strony znalazły gorących zwolenników, tak znów z drugiej strony powstają przeciw nim dość wpływowi przeciwnicy. Sprawa wywłaszczenie przedstawia nie tylko wielkie trudności pod względem czysto prawniczym, lecz nadto tak głęboko wrzynałaby w życie społeczne w naszej dzielnicy, tak niepożądane skutki musiałaby wywołać, że istnieją obawy, iż odbiłaby się najniepomyślniej na interesach wszystkich posiadaczy ziemi, a więc i Niemców. Ponieważ interes osobisty jest zawsze najpotężniejszym czynnikiem w polityce, więc zależeć będzie dużo od tego, czy dotychczasowy sceptyczny pogląd na skutki podobnej ustawy utrzyma się w decydujących kołach niemieckich.

Gazety hakatystyczne, które początkowo ostro pisały za tym projektem, obecnie zamilkły. Wnioski z tego mogą być różne. Albo, że rząd zdecydował się przedłożyć projekt, wtedy bowiem nie ma powodu wywierać dalszego nacisku na rząd, albo też, że z ważnych względów np., aby utargować ustępstwa u wolnomyślnych w parlamencie na rzecz wykluczenia polskiego języka z zebrań, zaniechano na razie pomysłu

wywłaszczenia. Najbliższa przyszłość wykaże, jak będzie. Czy ma zawisnąć nad nami damoklesowy miecz wywłaszczenia i demoralizować nasze sfery posiadające i paraliżować rozwój naszych gospodarstw rolnych, czy też zadowoli się rząd uzupełnieniem wyczerpanych kapitałów komisyi kolonizacyjnej.

Wywłaszczenie — to powiedzieć należy bez ogródek — byłoby gwałtem niesłychanym. Trzeba sobie uprzytomnić — abstrahując już od względów etycznych — praktyczne skutki takiej ustawy. Ktoby wtedy chciał jeszcze budować, ulepszać gospodarstwo, robić wielkie produktywne nakłady, skoro by się musiał lękać, że go wywłaszczą na mocy taksy, o której przypuszczać nie potrzebujemy, że będzie się liczyła z obecnemi konjunkturami? Wszakżeż już odzywały się głosy, aby takie wywłaszczane majątki taksować podług wartości użytkowej. A potem, coby mieli robić ci wywłaszczeni, którzy po za rolnictwem nie potrafiliby na chleb zarabiać? Szczęśliwy ten, kto ma majątek. Ale te szerokie rzesze właścicieli ziemskich, którzy po wyzbyciu się ojcowizny, nie mieliby dostatecznych kapitałów, aby żyć z procentu? Jakie uczucia owładnęły by nimi na myśl o ojcowskim rządzie, który ich wprawił w tak przykre położenie? Sądzimy, że byłby to najgorszy sposób wpajania ludziom lojalizmu państwowego. Podobny krok wydać by tylko mógł anarchistów, nieprzebłaganych wrogów obecnego porządku. Byłby też cennym przykładem i precedensem pożądanym dla socyalizmu, który także opiera się na zasadzie wywłaszczenia jak najwydatniejszego.

A teraz sprawa języka polskiego na zebraniach. I ona nie najlepiej stoi dla projektodawców. I przeciw niej silna zaznacza się opozycya u sprawiedliwszych żywiołów niemieckich. Jednakże i o nią bardzo się należy obawiać. Znana to rzecz, że ludzie, którzy dostają się do rządów, niekiedy nagle zmieniają przekonania. Niejeden opozycyonista na wysokim urzędzie stał się potulnym barankiem. Z tych wyżyn inaczej przedstawiają się oku ludzkiemu sprawy. Kto zaręczy, że taki zwrot nie dokona się w zapatrywaniach postępowców niemieckich. Dotychczas prasa ich występuje przeciwko klauzuli antypolskiej z zasadniczych względów. Jednakże ton tych artykułów, nie wyłączając demokratycznej „Frankf. Ztg.“ jest wątły. Zupełnie inaczej występuje prasa centrowa, w pierwszym rzędzie sprawiedliwa zawsze „Köln. V. Ztg.“

Nie trzeba zapomnieć, że Francya, którą postępowcy zazwyczaj uważają za przystań wszelkiej wolności, ma ustawę, według której nawet pojawianie się gazet niefrancuskich zależne jest od przyzwolenia władz. Dlaczego coś podobnego nie mogłoby mieć miejsca w Niemczech, skoro chodzi o polskie zebrania? Tak rozumuje niejeden postępowiec, zarażony duchem hakatystycznym i omotany szowinistyczną sugestyą.

Położenie spraw jest takie, że trudno przewidzieć ich wynik ostateczny. Jeżeli rząd targuje z partyami, nie czyni tego bez niejakich widoków powodzenia. Rząd ma wielką kieszeń i w niej dużo podarków dla upartych dzieci. Dużo się mówi o zwrocie w kierunku liberalnym. Czyby liberalizm niemiecki okazał dość siły charakteru, aby odrzucić ulgi dla Niemców, dla tego, żeby nie naruszyć praw Polaków? Oby tak było!

Jakkolwiek będzie — przyszłość nasza tylko od nas zależy. Siła nasza też nie spoczywa w wiecowaniu, lecz w pracy i niezłomnej wierze w prawo i przyszłość narodu. Znamy ludzi, którzy w życiu swem ani na jednym

---

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

65) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Po stłumieniu powstania rozpoczął Mikołaj w Polsce system [1]) rządów, mający trwać aż do naszych czasów, *system polegający na wynaradawianiu i rusyfikowaniu Polski,* a najprzód ziem ruskich i litewskich.

— Ruś i Litwa to odwieczne kraje rosyjskie! — kłamał przed sobą i podwładnymi a potem wszelkimi możliwymi sposobami począł zacierać kulturę [2]) polską i rugować to wszystko, co przez pięć wieków unii Polski z Litwą [3]) zaszczepiło się tu z Polski.

— Wydrę tę kartę z cywilizacyjnej pracy Polski! — mówił zajadle, czuł bowiem, iż była to karta najchlubniejsza.

— Zniszczę wszystko, co polskie i cokolwiek tylko przypomina związek tych ziem z buntowniczą Polską! — dodawał surowo, a rozkazy jego okrutnie spełniane, jękiem żalu i rozpaczy napełniły nieszczęśliwe, umęczone ziemie, serdeczne Polski siostrzyce.

Taki sam system zastosowany też został i do Królestwa Polskiego, ale że tu była ludność wyłącznie polska i katolicka, więc nie dał się tak przeprowadzić, jak w tamtych ziemiach, gdzie rusińska mowa ludności jakoteż grecko-unicki obrządek jej wiary były zbliżone do rosyjskich.

Więc po rządach przejściowych *Rządu Tymczasowego,* miało nastąpić *stałe urządzenie ziem pokonanych.*

Namiestnikiem Królestwa został teraz „pogromca Polski,“ feldmarszałek [4]) Paskiewicz mianowany księciem warszawskim.

Konstytucya Królestwa, nadana przez Aleksandra na mocy traktatu wiedeńskiego, zniesiona została a ogłoszony, t. zw. *„Statut organiczny“* (dn. 26 lutego 1823 r.), według którego:

zniesiona samoistność Królestwa Polskiego i odtąd zostaje ono częścią cesarstwa rosyjskiego; zniesione: koronacya króla polskiego, sejm polski i wojsko polskie. Odtąd Polacy będą służyć w wojsku rosyjskiem. Urzędnikami w Królestwie mogą być także Rosyanie. Za przestępstwa polityczne zaprowadzone: konfiskata majątków i wygnanie na Syberyę. Zamiast polskich województw Królestwo podzielone na gubernie. Zniesiona odpowiedzialność ministrów i niepodległość sędziów. Projekty do praw opracowuje odtąd Rada Stanu złożona z Rosyan i Polaków. Rząd będzie się składać z namiestnika i Rady Administracyjnej.

Statut organiczny pozostawia i zaręcza z dawnych wolności: wolność religijną i osobistą, rady wojewódzkie, zgromadzenia okręgowe i gminne, oddzielną administracyę i język narodowy w sprawach rządowych i

[1]) System, systemat, z greck., uporządkowanie szczegółów; układ zbiór zasad; sposób postępowania.

[2]) Kultura, z łac., postępowa uprawa roli; oświata, kształcenie umysłu.

[3]) Unia czyli połączenie się Litwy z Polską nastąpiło już w r. 1325, gdy Kazimierz W. poślubił Aldonę, córkę w. ks. litewskiego Gedymina; potem w r. 1386 przez ożenienie się Wład. Jagiełły z królową Jadwigą. Wzmocniono tę unię w Horodle w r. 1413. Ostatni z Jagiellonów Zygmunt August dokonał unii lubelskiej w r. 1569, związku wieczystego na miłości i wspólnej pomocy opartego z jednym królem, jednym sejmem, jedną monetą i jedną pieczęcią.

[4]) Feldmarszałek, z niem., marszałek polny, najwyższy stopień wojskowy.

nie byli wiecu, a są najlepszymi Polakami. Wiece są ważne, ważniejsza praca w towarzystwach, ale najważniejsza, to praca mrówcza a wytrwała na chleb, staranie o oświatę i dobre wychowanie dzieci w duchu religijnym i narodowym. Póki dom polski stoi — póki tam duch żyje polski, póty nie zginiemy.

Źle by było, żeby nasze istnienie narodowe zależeć miało od ustaw pruskich. One mogą nam być ciężkie, krępujące, mogą nam szkodzić, lecz nie ma takiej ustawy, któraby mogła zabić żywy naród. A więc spokoju. Rozdrażnienie nic nam nie pomoże, a łatwo może zaszkodzić. Natomiast to jest pewna, że nacisk wywołuje parcie. Im silniejszy będzie nacisk na nas, tem silniej zaznaczy się odpór. Niech ten odpór jednak nie będzie w słowach, lecz w czynach t. j. w mrówczej pracy, zapobiegliwości, oszczędności, solidarności i w tem przeświadczeniu, że zwyciężymy, bo zwyciężyć musimy.

Hakatyzm jest chorobą i albo minie, albo też umierci. Jeżeli zaś przyprawi o śmierć — to w żadnym razie nie nas, tylko tych, co nań chorują.

A więc w górę serca! Żyje przecież sprawiedliwy Bóg.

Obsadzenie stolicy arcybiskupiej.

Oto temat, który ustawicznie zajmuje umysły tak po stronie polskiej, jak niemieckiej. Najwięcej snać jednak interesuje te koła, które, ściśle rzecz biorąc, właściwie wcale nie obchodzi t. j. hakatystów. W najnowszym zeszycie „Ostmark“ poseł do parlamentu dr. Goercke łamie sobie głowę rządu, jak postąpić należy, aby jednym zamachem zabić kilka much t. j. zaszkodzić Kościołowi i Polakom, a pomódz tej tak srogo uciskanej niemczyźnie, państwu, katolikom niemieckim i t. d.

P. dr. Goercke sądzi, że przy obsadzeniu biskupstwa główny wzgląd należy brać nie czasem na interes Kościoła i Polaków, lecz na pruską ideę państwową i utrzymanie potęgi niemieckiego państwa. Z tego wypływa, że arcybiskupem może być tylko Niemiec. Tu nasuwają się p. dr. Goerckiemu następujące trudności: czy powinien zostać arcybiskupem Niemiec, mówiący po polsku? Odpowiedź: Nie. Albowiem możnaby się obawiać, że taki arcybiskup sam uległby polonizacyi, powtóre znajomość języka polskiego arcybiskupowi jest niepotrzebna, gdyż katolicy polscy dostatecznie władają językiem niemieckim, a językiem kościelnym jest przecież język łaciński. Co zaś do robotników polskich z zagranicy, z którymi by się arcybiskup porozumieć nie mógł, to należy przypomnieć, że to są goście wielce w Prusach nie pożądani, zatem nie należy na nich brać względu. Natomiast arcybiskup nie umiejący wcale po polsku, stanowiłby wielką ochronę dla uciskanych niemieckich katolików.

Jednakże w Rzymie podobna propozycya natrafiłaby na opór. Ale to mniejsza. Rzym tak i tak opiera się nominacyi arcybiskupa Niemca, zatem rząd powinien czekać.

Dalszą trudnością jest pytanie, czy wogóle znajdzie się osobnik chętny do przyjęcia ciernistej po ś. p. ks. Stablewskim spuścizny. Przyszły arcybiskup bowiem — zdaniem p. dr. G. — winien być nie czasem godnym kapłanem, lecz mężem o silnym charakterze i wytrawnym politykiem. Taki zaś tylko wtedy zasiądzie na stolicy arcybiskupiej, jeżeli się będzie odznaczał gorącą miłością niemczyzny i chęcią walki.

Ale nasuwa się pytanie, czy taki mąż zdoła się utrzymać na stolku biskupim?

---

sądowych — a wprowadza zamiast sejmu Stany prowincyonalne.

Te wszystkie postanowienia, te jakoby resztki konstytucyi, wcale nawet nie weszły w wykonanie. Obywatele polscy na każdym kroku doznawali upokorzenia, zmuszano ich nawet podawać adresy do cara i urządzać bale dla ciemięzców. Na rozkaz Paskiewicza musiała udać się do Petersburga *deputacya polska, musiała pokornie wyznać winę i błagać o przebaczenie za powstanie przez garstkę burzycieli wzniecone.* Taką nikczemną mowę odczytał, znakomitego rodu książę Walenty Radziwiłł. [1])

Nie było środków, których nie użyłby rząd rosyjski na Litwie i na Rusi, ażeby przytłumić tam wszelkie marzenia o wolności i wyplenić polskość. Zniesiono *Statut Litewski,* a ziemie te urządzone zostały zupełnie na wzór gubernii rosyjskich. W szkole i urzędach zaprowadzony język rosyjski (1 lipca 1832 r.) i powróciły znów zasady wsteczne, oparte na różnicy stanów i na przywilejach kastowych. Na Białej Rusi zaprowadzony moskiewski *Swod-zakonow* (zbiór praw) usunął wszelką jawność i samodzielność obywatelską i poddanych zamienił w niewolników. [2]) Najbardziej przykrym za rządów cara Mikołaja był na Litwie stosunek panów do chłopów. Szlachcie wolno było zbierać zgromadzenia szlacheckie, lecz ile razy chciała ona korzystać ze swych praw i zrobić coś dobrego dla ludu, tyle razy ściągała na siebie surowe kary rządu.

Za panowania cara Mikołaja rozpoczęło się *przymusowe przesiedlanie Polaków do gubernii rosyjskich.* 45,000 rodzin wywieziono z Krajów Zabranych w głąb Rosyi, nie licząc w to wielu skazanych na Syberyę, jakoteż wcielonych do armii rosyjskiej żołnierzy polskich. Pod pozorem opieki nad dziećmi po żołnierzach polskich, wyławiano z Królestwa przez trzy lata mnóstwo dzieci polskich i gwałtem wywożono je do wojennych kolonii rosyjskich. Wśród rozdzierających jęków i płaczów matek i dzieci, gwałtem od matek odrywanych, po 15 do 20 na każdym wozie, transportowano je w nocy i oddawano Kozakom w Warszawie. Z przeszło 2000 biednych tych niewinnych ofiar zmarła co najmniej połowa wsród poniewierki dalekiej drogi.

— Barbarzyńskie to widowisko pozostawiło nawet w najobojętniejszych widzach niezatarte wrażenie! — pisze ze wzruszeniem Niederstetter ówczesny konsul generalny Niemiec w Warszawie. [3]) I zaprawdę szatański to i okrutnie spełniany pomysł, bo dzieci te przepadły już dla swego narodu i dla wiary katolickiej.

Z dziką surowością rozpoczął car Mikołaj *kasowanie zakładów nauki i narodowej oświaty w Polsce.*

— Pozamykać szkoły polskie, gdzie najbardziej rozbudzają się i szerzą uczucia narodowe! — wołał, wydając rozkazy.

(C. d. n.)

---

[1]) Jako Polak, jako człowiek niepodległy nie powinien był odczytywać mowy takiej, gdyby miał poczucie godności i obywatelskiego obowiązku! — pisze z oburzeniem historyk Fr. hr. Skarbek. — (Liman 193).

[2]) W carstwie rosyjskiem zniesiono niewolnictwo ludu dopiero ukazem z dnia 26 marca 1842 r. — Limanowski, 194.

[3]) Tenże konsul surowo potępia gwałtowne i dzikie postępowanie Rosyi, a zwłaszcza ulubieńca cara Paskiewicza, występuje ostro przeciw tym wszystkim środkom, świadczącym o gwałtownej „nienawiści“, przeciwko bezskutecznemu według niego przytłumianiu cywilizacyi i oświaty — nie przypuszczając zapewne, co po blizko 80 latach dziać się będzie w innych ziemiach polskich, zwłaszcza z biednemi dziećmi i to właśnie pod niemieckim rządem, *że jakby na ironię postępu i cywilizacyi — podobna zapanuje tam dążność wynarodowienia, z podobnymiż środkami znęcania się nad szlachetnym narodem, którego teraz już jedyna chyba wina, że żyje i kocha swą ojczystą ziemię, swoją wiarę i mowę i że prawnymi środkami od zagłady, bronić się usiłuje.* — Według *Raportu niemieckiego konsula generalnego* z królewskiego tajnego (dotąd niedostępnego) archiwum w Berlinie z dnia 20 września 1832 r. — Tygodn. Ill. Warsz. 1906. Nr. 29.

I na to ma radę p. dr. G. Radzi on rządowi, aby się postarał o rozłączenie dyecezyi gnieźnieńskiej od poznańskiej i o odebranie gnieźnieńskiej metropoli prymatu nad dyecezyą poznańską i chełmińską, oczywiście za równoczesnem zniesieniem tytułu prymasa Polski. Wtedy stanowisko biskupów będzie daleko łatwiejsze wobec Polaków, albowiem jeden biskup drugiemu będzie mógł dopomagać w walce z Polakami. Zresztą z zmniejszonym blaskiem stolicy gnieźnieńskiej, zmniejszy się też jej sugestywny wpływ na umysły polskie.

Rzym prawdopodobnie bronić się będzie przeciw tym projektom. W takim razie należy mu przypomnieć, jak obficie rząd wypełnia jego życzenia pod względem kościelnym, za co należy się ze strony papieża uznanie, mogące się wyrażać w tem, że zgodzi się na projekty rządowe. Przedewszystkiem jednak upaść musi prymas Polski, tego wymaga dobro niemieckiego narodu i niemieckiego katolicyzmu. W tej sprawie rząd może liczyć na poparcie narodu niemieckiego i większości w parlamencie.

Tyle sławetna „Ostmark". Sądziliśmy, że przysłużymy się czytelnikowi, podając powyższe plany p. dr. Goerckiego do wiadomości. To, co radzi p. G. jest tak potworne, że wychodzi daleko po za ramy oficyalnego programu rządu, i byłoby, gdyby rząd dał posłuch tym radom, niczem innem, jak hasłem do wybuchu nowej walki kulturnej na wielką skalę. Rzym żadną miarą bowiem nie mógłby się zgodzić na rozdział dyecezyi, któryby tak wybitnie hakatystycznym służyć miał celom, również nie mógłby się zgodzić na mianowanie arcybiskupem człowieka, któryby przyszedł do Poznania w celu zwalczania własnych dyecezyan.

Z takich artykułów najlepiej poznać można, jakie wymagania stawiają hakatyści do przyszłego arcybiskupa niemieckiego w Poznaniu. Nie chcą oni księcia Kościoła, lecz policyanta, któregoby każdy przyzwoity człowiek miał w pogardzie. Jakie by to skutki miało w dziedzinie religijnej — to im obojętna. To jednak pewna, że pod względem politycznym nie miałaby niemczyzna i państwo pociechy ze skutków działalności takiego arcybiskupa.

My Polacy niewzruszenie stoimy na tem stanowisku, że tylko Polak może i powinien być arcybiskupem naszych dyecezyi. Wymaga tego religijny nasz interes, wymaga nasze serce polskie, tylą nieufności przejęte wobec niemczyzny, na skutek doznawanych ustawicznie „dobrodziejstw niemieckich."

Przegląd prasy.

W ostatnim numerze pisma naszego zamieściliśmy artykuł p. posła Napieralskiego, podając myśl stworzenia przedstawicielstwa narodu, uprawnionego do reprezentowania go w sprawach politycznych na zewnątrz i przedsiębrania wszelkiej w tych sprawach potrzebnej akcyi w kraju.

Myśl tę, według nas bardzo ważną, powitał *„Głos Śląski"* w następujący sympatyczny sposób:

„Brak nam — pisze — dobrej, pożytecznej organizacyi politycznej i poseł Napieralski poruszając tę sprawę publicznie, oddał społeczeństwu — naszem zdaniem — niemałą przysługę, bo wskazuje na lukę, którą wypełnić należy, lukę prawidłowo pracującej myśli politycznej, nie ograniczającej się na jednostki, ale mającej ożywić cały ogół na szerokiej przestrzeni polskiej w całym zaborze pruskim. W walce i stosunkach, w jakich nam żyć wypada, nie możemy iść rozsypką, ale stworzyć należy — że się tak wyrazimy — zbiorową kontrolę obywatelską, która czuwać będzie sumiennie nad tem, żeby w społeczeństwie naszem myśl polityczna nie została wykrzywioną lub wypaczoną, ale normalnie się rozwijała, prawidłowo pracowała i rzetelnie ożywiała umysły ogółu całego.

Na to nadawają się właśnie Zjazdy obecny upadek Francyi. Kladę nacisk na to, aby się wiece jako stała instytucya co rok odbywały, aby praca za ich inicyatywą rozpoczęta, nie przerywała się, ale była ciągłą. Dla braku tej ciągłości pozostały bezowocnymi wiece odbyte w kilkunastu ostatnich latach w Wielkopolsce i Galicyi. Na wiecach nie trzeba się oczywiście ograniczać na wypowiedzeniu kilku mniej lub więcej udatnych mówek, ale pracować w komisyach, obok wieców urządzanych, i tym komisyom postawić jako zadanie, aby po skończonych wiecach czuwały nad wprowadzeniem w życie uchwał wiecowych i aby do następnych wieców przygotowywały odpowiedni materyał."

Dla oświaty religijnej intelligencyi uznano w ankiecie potrzebę światłych kapłanów, którzy rozjaśnią jądro katolicyzmu i jego wielkość. Zaiste, warto dziś wykazać, że katolicyzm, to nie martwe formułki, „że istota katolicyzmu nie polega na mówieniu tylko pacierzy, uczęszczaniu do kościoła" (*Ks. Arcybiskup Bilczewski*).

I niedwuznacznie i szczerze brzmi skarga w ankiecie na tę formalność w katolicyźmie naszym. Przytaczamy jedynie dwa głosy.: „Dla każdego kto patrzy głębiej w sprawy, nie jest ta

X. T. R.

Dzisiejsze zadanie katolicyzmu w Polsce.*)

(Na podstawie ankiety „Przeglądu Powszech.")

I.

Na pierwszy plan, na czoło dzisiejszych zadań katolicyzmu wysunęła redakcya „Przeglądu" w kwestyonaryuszu kwestyę socyalną.

Naszem jednak zdaniem zasługuje na omówienie i rozpatrzenie w pierwszym rzędzie sama kwestya katolicka, sam katolicyzm u nas w Polsce. Jeśli w Polsce będzie prawdziwy katolicyzm, rozwiną się też wszystkie kwestye w duchu katolickim, normalnie, wedle zamierzenia Bożego. Ale musi być katolicyzm prawdziwie poznany i musi przejść w życie. Że tak wielu z intelligencyi naszej zdala stoi od katolicyzmu, na tem polega, że katolicyzm prawdziwy z swą pełnią życia, głębinami myśli, bogactwem twórczości, swą wielkością i szerokością mało albo wcale nie jest znany. Fundamentalnem więc zadaniem Kościoła u nas w Polsce jest pozyskanie intelligencyi przez oświatę religijną (np. konferencye religijne) i zorganizowanie jej przez wiece. „Najbardziej palącą na razie potrzebą Kościoła naszego w wszystkich trzech zaborach — powiada *Ks. Biskup Likowski,* — jest zorganizowanie tych żywiołów świeckich wśród intelligencyi, o których wiadomo, że stoją w zapatrywaniach swoich na gruncie katolickim; celem zaś tej organizacyi powinno być stałe, coroczne zwoływanie wieców katolickich, na których potrzeby nasze powinny być omawiane i środki obmyśliwane, jak im zaradzić. Od tego zaczęli niemieccy katolicy, w szczególności w Prusach, po r. 1870 swoje odrodzenie, i temu w wielkiej części zawdzięczają obecne swoje znaczenie w cesarstwie niemieckiem, mimo swej mniejszości. Brakowi zaś tej organizacyi, do której śp. papież Leon XIII. wciąż upominał, przypisać należy

*) W październiku r. 1905 ogłosiła redakcya „Przeglądu powszechnego" ankietę, tj. rozesłała do wielu wybitnych ludzi listy z zapytaniem, co sądzą o zadaniach katolicyzmu w Polsce, a więc we wszystkich trzech zaborach, w obecnej chwili. Na zapytanie nadeszło mnóstwo odpowiedzi, które wydano w osobnej książce. Na podstawie tej książki napisany jest powyższy artykuł. Pojawił się on najprzód w „Przeglądzie kościelnym". Uprzejmości wydawcy i redaktora tego cennego miesięcznika, ks. prob. St. Okoniewskiego, zawdzięczamy, że możemy interesujący ten artykuł uprzystępnić szerszym kołom publiczności.

dy, czyli sejmiki, jak je kto chce nazwać. Zjazdy takie, złożone z przedstawicieli wszystkich naszych warstw społecznych, winny być nietylko egzaminem politycznym naszych prac i zachodów, naszego istotnego planu i położenia, ale winny być drogowskazem żeby społeczeństwo polskie rzetelnie się rozbudowywało w swych pracach wewnętrznych".

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że położenie nasze w dyecezyach z ludnością pod względem narodowym niejednolitą, a więcej jeszcze na obczyźnie pozostawia bardzo a bardzo wiele do życzenia pod względem opieki duchownej. Skargi, jakie wytoczyło grono księży z dyecezyi chełmińskiej, nie były pochwycone z powietrza, lecz w największej części niestety uzasadnione. Inna rzecz, czy należało je wytaczać w pismach i do tego w tak ostrym tonie. Wprost gorszące są stosunki kościelne berlińskie, za które odpowiedzialnym jest ks. kardynał Kopp. Niekoniecznie dobrze dzieje się pod tym względem na Śląsku, a i dalsze wychodźtwo nad Renem ma wiele powodów utyskiwania na niedostateczną pastoryzacyę w języku polskim.

Również nie ulega wątpliwości — przynajmniej takie jest nasze zdanie — że głównym winowajcą jest rząd pruski i polityka antypolska, a nie odnośni biskupi, którzy są wobec rządu ustępliwi nad miarę, jeżeli chodzi o Polaków, byle tylko nie popsuć znośnego z rządem stosunku. Nie odgrywają tu roli względy osobiste, lecz względy na interes Kościoła w Niemczech wogóle. Biskupi dyplomatyzują z rządem, a ponieważ w dyplomacyi wygrywa po większej części ten, kto ma siłę za sobą, więc my na tej dyplomacyi bardzo źle wychodzimy. Jednakże i biskupi mieliby siłę, gdyby się porozumieli pomiędzy sobą i gremialnie rządowi swe życzenia przedłożyli. Tak mniejwięcej rozumuje pewien poważny kapłan, zamieszczając w *„Gazecie Opolskiej"* następującą radę:

„Położenie obecne jest nader groźne. Powaga i prawa Kościoła katolickiego w Prusach wystawione są na szwank. Trzeba się obawiać o duszne sprawy ludności polskiej katolickiej, którą rząd skazuje na germanizacyę nawet przez naukę religii. Tu nie chodzi o jakieś poszczególne wyjątkowe wypadki, lecz o jedne i te same stosunki we wszystkich dyecezyach z ludnością przeważnie polską, a nadto o smutne stosunki, w jakich się znajdują Polacy na obczyźnie. Wobec takiego stanu rzeczy potrzeba jednolitej, programowej akcyi. Społeczeństwo polskie powinno się udać z zupełnem zaufaniem do całego episkopatu niemieckiego (nietylko pruskiego), to jest do wszystkich biskupów w Niemczech, i przedłożyć im słuszne swoje i na nauce Kościoła oparte żądania. Ustaną wtedy skargi i żale na obojętność lub milczenie tego lub owego ks. biskupa, a wzbudzi się i wzrośnie zaufanie do Kościoła i władzy duchownej, bo cały episkopat jako taki milczeć nie będzie i nie może; przeciwnie rozpatrzy dokładnie stan rzeczy i położenie ludności polskiej i katolickiej i bezstronnie wyda wyrok, na zasadzie którego poinformuje należycie Stolicę św. Poszczególni biskupi, szczególnie w dyecezyach z ludnością polską, znajdują się w różnorakich wyjątkowo trudnych warunkach i uważają może w niejednym razie za konieczne liczyć się to z tymi to z owymi względami i okolicznościami, dotykającemi spraw świeckich. Całemu episkopatowi niemieckiemu niech będzie sprawa przedłożona; cały episkopat będzie mógł snadniej pozostawić względy na władze świeckie na uboczu, rozstrzygnąć sprawę jasno i nie dwuznacznie w duchu Kościoła".

W odrodzeniu austryackiego Śląska zaszedł ważny fakt, uczyniony został wielki krok naprzód. Sejm uchwalił dla wszystkich korporacyi autonomicznych na Śląsku prawo używania języka ojczystego w stosunku do autonomicznych władz wyższych.

Wobec tego pisze *„Dziennik Cieszyński"*:

„Uchwała sejmowa nie wyrządza ludności słowiańskiej na Śląsku żadnej łaski, nie może być uważaną za szczególne jakieś dobrodziejstwo, jest ona tylko prostem wymierzeniem sprawiedliwości. Słuszna i jasna to rzecz, aby urzędy, które istnieją tylko dla dobra

---

jemnicą, że cała religijność, nie tylko ludu naszego, ale rzec można, całego narodu, zasadza się na gorliwem spełnianiu form religii katolickiej, na wypełnianiu przepisów, normujących stosunek człowieka do Kościoła i regulujących jego życie, jako jednostki społecznej pod postacią katolicką, ale żeby życie swe jednostka starała się dostosować do przykazań Boskich, żeby istota jego, a więc uczynki były wyrazem i odbiciem żywem nauki Chrystusowej, tego twierdzić, niestety! nie można" (*Dr. A. Kalina*). Obserwator i znawca narodu naszego, *Henryk Sienkiewicz*, powiada o naszej wierze, że jest „martwa, mechaniczna, polegająca jedynie na zachowaniu pewnych przepisów (np. postów) i udziale w kościelnych obrzędach. Nie wchodzi ona w ich krew, nie przenika do sumień, nie oddziaływa na ich czyny, nie rozgrzewa i nie rozświeca. Stwierdzam przytem na mocy własnej i cudzej obserwacyi, że ta skostniałość wiary szerzy się coraz bardziej i że religijność ludu polega coraz przeważniej na mechanicznem tylko spełnianiu obrządków, a wobec tego łatwo jest odpowiedzieć, jakie jest u nas zadanie Kościoła katolickiego. Wskrzesić wiarę czynną, zwrócić jej żywotność."

Bogu dzięki jest u nas wielka cześć dla Świętych Pańskich. Ale nieraz razi poniekąd jakby pewna przesadna cześć do niektórych „modnych" Świętych. Zda się, jakby większej doznawali czci od samego Jezusa, jakby ginęło w cieniu, malało to, co największe, najświętsze w kościele naszym. To też tak sympatycznie odbija się na szerokiem tle ankiety, jak wschodzące słońce na szarem niebie: kult Najśw. Sakramentu, wskazany przez świeckiego (*Dr. J. Brzezińskiego*). „Jest to — powiada — akt najpokorniejszego i zupełnego poddania rozumu Słowu Bożemu, a zatem najwznioślejszy akt religijny, przez który bierzemy zupełny rozbrat ze zmysłowością, aby na skrzydłach wiary i tą wiarą oświeconego rozumu wznieść się w najwyższe sfery życia nadprzyrodzonego, bez którego o katolicyźmie wcale nie może być mowy. To też zawiązywanie, zwłaszcza śród sfer naszej intelligencyi, stowarzyszeń, mających za cel publiczną adoracyę Najśw. Sakramentu, a względnie liczne przystępowanie sfer intelligencyi do już istniejących stowarzyszeń tego rodzaju, ich popieranie, urządzanie wieców eucharystycznych na wzór za granicą rozpowszechnionych, uważam jako jeden z najdzielniejszych środków akcyi katolickiej w naszym kraju w sferze religijnej."

Co do oświecenia religijnego ludu, podniesiono w ankiecie, że obowiązkiem duchowieństwa jest wszczepianie weń świadomości koniecznego związku jaki zachodzi między religią a życiem, przez misye, rekolekcye, kazania katechetyczne i t. p. Zdala tylko potrącono o przygotowanie ludu na wychodźtwo przez oświatę religijną. Co do ludu miejskiego, kapłan go tylko wtenczas pozyska dla Kościoła i religii, jeśli będzie miał wybitną cechę Polaka. „Mamy prawo żądać — mówi *M. Straszewski*, — aby kapłani polscy byli gorącymi polskimi patryotami, nietylko dla tego, że są Polakami, ale dlatego także, że są duchownymi katolickimi. Z tego względu nie uważam za odpowiednie usuwanie się duchowieństwa od pracy narodowej i obywatelskiej. Jeśli gdzie, to właśnie wśród polskiego narodu sprawa narodowa jest równocześnie sprawą katolicką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ludności, sprawowały wszystkie swe czynności tak, jak ludność sobie życzy, jak jej to najdogodniej.

Dotychczas językiem urzędowym był język niemiecki, obecnie takie same uprawnienie uzyskał język polski i czeski.

Wprawdzie i przed wejściem w życie nowej uchwały niektóre gminy miały u siebie urzędowanie polskie, zasługa to była energiczniejszych wójtów i świadomszych praw swych wydziałów gminnych, lecz niestety gmin tych nie było wiele, powtóre urzędowanie polskie spotykało się z różnemi trudnościami. Ludzie energiczni przełamywali nieprzyjazne usposobienie u „góry“ i korespondowali po polsku, ludzie jednak słabsi i bierniejsi nie czynili tego, nadto zaś zawsze w gminie znalazł się ktoś — zazwyczaj renegat, — który wszystko załatwiał po niemiecku, a nawet protokóły z posiedzeń gminnych w tym języku prowadził. Ludzie zaś znosili to, myśląc, że tak być musi.

Obecnie winno to ustać! Odtąd, opierając się na nowej ustawie, winne wszystkie Wydziały gminne urzędować wyłącznie po polsku. Wstyd i hańba padłyby na gminę, która, mogąc korzystać z praw swych, dobrowolnie by wyzbywała się ich!“

Tak otóż dzieje się na Śląsku — austryackim oczywiście. A u nas? miły Boże, u nas wymyśla się najrozmaitsze projekty, aby nas pozbawić używania polskiego języka nawet na zebraniach i wiecach, bo tak chce racya stanu. Kiedy to nastaną te błogie czasy, że i w Prusach poznają, że państwo istnieje dla obywateli, a nie obywatele dla państwa?

Koncentracya stronnictw w Królestwie Polskiem się rozbiła i to z tego powodu, że większość narodowo demokratyczna nie chciała, czy nie mogła się zgodzić na pewne żądania realistów i postępowców, co do zorganizowania tego zsolidaryzowania stronnictw. Wobec tego wywiązała się przykra polemika w prasie warszawskiej, w której ostro uwydatniają się wzajemne rekryminacye.

Obecnie zabiera p. A. Dominirski w *„Słowie“* głos i tłumaczy, dlaczego właściwie rozbiła się koncentracya stronnictw. Czytamy tam:

„O co faktycznie koncentracya się rozbiła? Przecież nie o kwestyę solidarności, jak to pragnęła przedstawić demokracya narodowa; może nawet sprawa wywłaszczenia nie byłaby przedstawiała tych trudności, jakie wynikły, gdyby nie — widocznie zresztą i z enuncyacyi głównego organu narodowej demokracyi — dążenie do ograniczenia wpływu żywiołów, nie należących do tego stronnictwa, do zera“.

Dalej tłumaczy p. A. D., że realiści nie zgadzali się na politykę Koła polskiego w drugiej dumie i w ważnych punktach ją krytykowali. Również wiadomem jest, że bezwzględnych zwolenników polityka ta nie miała w kraju wielu. Mimo to narodowa demokracya, będąca w Królestwie u steru spraw, pochwala tę politykę i zamierza prowadzić ją nadal i w trzeciej dumie. Ponieważ zaś realiści nie mają widoków uzyskania wpływów na przedstawicielstwo narodowe w dumie, gdyż będąc w mniejszości, przegłosowano by ich, zatem, nie chcąc brać odpowiedzialności za politykę narodowej demokracyi, wolą pozostać na uboczu.

„Prosimy nam wytłomaczyć — powiada p. A. D. — co mają zrobić w kraju przedstawiciele pewnego kierunku politycznego, którzy się nie solidaryzują z postępowaniem Koła polskie-

Z teatru.

„Turniej“, dramat w 5 aktach, St. Kozłowskiego, który w sobotę grzmiał w patetycznych dytyrambach, przez kilka godzin ze sceny naszej, nie był nowością dla publiczności naszej. Dawano go przed kilku laty. Dramat ten, jedno z udatniejszych dzieł naszego laureata warszawskiego, już przed 10 laty pojawiła się w świetle kinkietów, na dziesięć lat po pojawieniu się Alberta, wójta krakowskiego, która to sztuka przyniosła Kozłowskiemu pierwszą nagrodę na konkursie warszawskim imienia Bogusławskiego.

W sztuce sobotniej uwydatniają się wszystkie zalety, ale i wady twórczości jej autora. Do zalet zaliczyć należy olbrzymi rozmach i wysoce dramatyczny ton, na jaki jest nastrojona, skrzętne i umiejętne wyzyskiwanie scenicznych efektów, działających na zmysł wzrokowy widza, zręczna stylizacya tematu, godnego pióra prawdziwego artysty-dramaturga. Niestety Kozłowski nie jest artystą z Bożej łaski i pod jego ręką rzecz wielka w pomyśle, w wykonaniu kurczy się do rozmiarów nie wychodzących po za miarę średnią. Dramat jego ma wartość dla sceny, gdyż zawsze znajdzie ciekawych widzów, zadowolonych z barwnych obrazów, jakich sztuka dostarcza i wrażliwych na patetyczny ton i koturnowy styl występujących osobistości, lecz literatury artystycznej on nie zbogaca.

Autor wyprowadził na scenę nieskończone mnóstwo osób. Kilku z nich piastuje bardzo ważne role, przedewszystkiem Andrzej, Dominik, Paola, matka Andrzeja, Matko i t. d. Z wyjątkiem Paoli żadna z tych figur nie wychodzi po za szablon, żadna z nich nie ma nam do powiedzenia czegoś niesłyszanego dotąd, żadna nas nie zajmuje prawdziwie, nie budzi współczucia. Obcy jesteśmy tym deklamującym ludziom, a niektórzy, jak Andrzej n. p., rychło nas oburzają swą małością, swą próżnością, obrażoną miłością własną i zranioną pychą. Napróżno oglądamy się za wielkimi ludźmi. Tych, których widzimy, to osobniki małe, jakich miliony chodzi po tej naszej biednej ziemi. Taki Andrzej np., postać stosunkowo jeszcze najlepiej narysowana, to przeciętny, zazdrosny, małoduszny starzec, rzucający się nieprzystojnie na myśl, że należy ustąpić miejsca lepszemu współzawodnikowi. To nie miłośnik sztuki, który nawet w dziełach wroga osobistego, ubóstwia dostojność kunsztu, któremu sam służy. Taki Dominik, to nie artysta z Bożej łaski, od którego promienieje potęga wielkiej indywidualności twórczej, to chłystek, polujący na cudze żony, to zwykły Don Juan, obrany z wielkich żądz i wielkich, światoburczych namiętności, siłą których druzgocze konwenanse życia i intenzywność których nawet grzech artystycznie wzniosłym czyni i widza rozbraja. Nas oburza ten Dominik i oburza nas Paola, że się dała pochwycić na lep tak mało ponętny. I, gdyby nam autor przez usta zwolenników Dominika powiedział, jakim właściwie geniuszem jest ten wybraniec niebios, niesmak nasz byłby o tyle większy. Jednakże na scenie nie ma miejsca opowiadanie jak w romansie. Na scenie każdy charakter sam siebie powinien usprawiedliwić i uzasadnić. Tego brak w tej wielce pretensyonalnej, lecz w gruncie rzeczy słabej sztuce Kozłowskiego.

Jednakże lubo całość nie zadowalała, to jednak nie brak w „Turnieju“ prawdziwie dobrych scen. Tak np. scena w pracowni, gdzie Andrzej spostrzega wyczerpanie się swej twórczości, działa potęgą prawdy i do głębi przejmuje widza. Znajdą się i inne dobre, lecz to tylko oka tłuszczu artystycznego, pływające na dość bezsilnej wodziance literackiej.

Gra artystów piastujących ważniejsze role zadowalała. Pan Poleński raził w masce, pan Szatkowski w geście nie zdołał uwydatnić grandezzy, jakiej spodziewać się mamy prawo po takim dygnitarzu, jakim był podesta florencki. Inscenizacya była dobra. Kostyumy i dekoracye stylowe. Wogóle to zaznaczyć należy z uznaniem — dyrekcya i artyści pracują sumiennie, aby zadowolić publiczność. Zatem i publiczność powinna popierać teatr jaknajwydatniej.

go w drugiej dumie a od większości bezustannie słyszą, że i w trzeciej dumie nie ma nic innego do zrobienia? Przecież ta większość w Kole trzeciej dumy będzie decydowała. Co mianowicie mają zrobić, jeżeli nawet nie mają gwarancyi, że ich delegatami będą ci, których oni jako rzeczników swoich poglądów w Kole widzieć pragną?

Przy zgodzie powszechnej na cele ogólne, przecież jest różnica w poglądach na drogi, któremi do celu zdążać należy, a te drogi w dobie obecnej, twórczej, więcej znaczą, niżeli kiedykolwiek".

Każdy nieuprzedzony człowiek zrozumie skrupuły realistów warszawskich i powie, że postąpili uczciwie.

Korespondent warszawski kadeckiej *„Rieczy"* rozmawiał ostatniemi dniami z profesorem Pogodinem, Rosyaninem, którego kandydatura do trzeciej dumy z Warszawy ma niejakie widoki powodzenia. W rozmowie wygłosił prof. Pogodin takie zapatrywania na kwestyę polską:

„Jako slawista, studyujący historyę narodów słowiańskich i jako profesor warszawski, mający możność bliższego zetknięcia się z kwestyą polską i interesujący się nią, przyszedłem do przekonania, że niezależność narodu polskiego w jego granicach etnograficznych — jest najprawdopodobniejszem rozwiązaniem tej kwestyi. *Naród, w którym tak żywe jest poczucie swej plemiennej jedności i swej przeszłości historycznej, nigdy nie zleje się z narodami, pod których panowaniem pozostaje.* Bardzo jest możliwem, że kwestya odrodzenia życia politycznego Polski będzie podniesiona przez rząd i przedstawicieli ludu i znajdzie odgłos w szerokich masach ludności.

W tym wypadku uznaję dla siebie osobiście za najrozumniejszy taki sposób działania, który odpowiadałby temu procesowi historycznemu, jaki się obecnie odbywa. Wszelkie zaostrzenie stosunków polsko-rosyjskich, nie powstrzymując tego procesu, pogłębia tylko możliwość nie pokojowego zakończenia procesu, takie zaś zakończenie uważałbym za wielkie nieszczęście dla obu narodów słowiańskich.

„W najbliższej przyszłości *pragnąłbym autonomii dla Królestwa Polskiego,* lecz gdybym był działaczem politycznym, to głosowałbym za nią tylko w tym wypadku, gdyby takąż samą autonomię przyznano Litwie, obu częściom Małorosyi, guberniom nadbałtyckim, niektórym okręgom Kaukazu i niektórym rejonom kulturalnym rdzennej Rosyi. Urządzenie państwa za pomocą połączenia części autonomicznych, o ile na takie urządzenie pozwala konieczność posiadania na razie silnej armii, — taki jest mój ideał polityczny.

Z radością stwierdzam miły fakt — zakończył profesor, — że ogromna część niższych urzędników, która zamierza poprzeć moją kandydaturę, składa się z ludzi życzliwie usposobionych dla Polaków i zawziętych przeciwników polityki rusyfikacyi".

Tydzień polityczny.

W Niemczech znów sensacyjny proces zajmował uwagę publiczną. Chodziło o sprawę adwokata Liebknechta, syna znanego przywódzcy partyi socyalistycznej, zmarłego przed kilku laty. Adwokat Liebknecht napisał broszurę treści antymilitarystycznej, w której władza dopatrzyła się zdrady stanu. Sąd rzeszy, który tę sprawę rozpatrywał, przyszedł do przekonania, że Liebknecht istotnie dopuścił się zdrady stanu, lecz ponieważ nie działał z pobudek niehonorowych, tylko dał wyraz swym przekonaniom politycznym, skazał Liebknechta na półtora roku fortecy, a nie na hańbiącą karę cuchthauzu, jak tego życzyła prokuratorya.

Czy wyrok ten stłumi agitacyę antimilitarystyczną — wątpić należy. Raczej przypuszczać można, że ją ożywi. Ożywi też zapewne ruch socyalistyczny, bo otóż „Vorwärts" wyzyskuje go w celach agitacyjnych z właściwą sobie zręcznością. Znów stworzono nowego męczennika socyalistycznego, a „męczeństwo," to słowo zawsze silnie działające na masy. Liebknecht sam ze spokojem przyjął ten wyrok i oświadczył, że w fortecy będzie miał czas pracować nad pogłębieniem swoich teoryi. Wie on też zapewne, że, gdy karę odsiedzi, praktyka poprawi mu się niepomiernie. Na ogół prasa niemiecka pochwala wyrok sądu rzeszy. Gdzie niegdzie odzywają się głosy, aby za zdradę stanu bezwzględnie karać cuchthauzem.

Partya socyalistyczna zamierza referat z rozpraw sądowych w sprawie Liebknechta wydać w olbrzymim na-

Pierwszy odczyt Cezarego Jellenty o Norwidzie

niestety nie zgromadził na sali bazarowej liczniejszej publiczności, lubo tak talent prelegenta, jak przedmiot wykładu, upoważniały spodziewać się intenzywniejszego zainteresowania się inteligencyi naszej niedzielną konferencyą.

Znany z wytworności stylu i finezyi smaku artystycznego prelegent, w pierwszej prelekcyi podał biografię duchową wielkiego poety i plastyka Cypryana Norwida, który niedoceniony, a nawet szyderstwem obrzucony za życia, w dwadzieścia lat po śmierci odżył na nowo w pamięci ludzkiej i zabłysnął na firmamencie literackim jasnością oślepiającą wielkiej, pierwszorzędnej i zupełnie nowoczesnej indywidualności artystycznej. Ta nowość, to wyprzedzenie swego czasu o całe lat dziesiątki, oto, co narażało Norwida na zjadliwą krytykę współczesnych i sprawiło, że nie uszczknął jednego listeczka wawrzynu za życia. Dopiero potomność rzuciła kwiat uznania na jego zapomniany grób, a że się to stać mogło, jest głównie zasługą Zenona Przesmyckiego (Miriama), który, aby się tak wyrazić, kreował Norwida po śmierci.

W czemże polegała ta nowość Norwida, co powodowało, że on, przyjaciel Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego nie wypłynął razem z nimi w uznaniu ludzkiem, skoro tylu mniejszym od niego, go nie poskąpiono, a nawet zaszczycano niem nad miarę? Otóż Norwid wyprzedził szlaki ówczesnego romantyzmu, kazał zamilknąć własnemu ja, odwrócił oczy od siebie i własnego narodu, aby się roztopić w idei i zanurzyć w falach tajemniczych, płynących z bajecznej oddali czasu i przestrzeni, w umiłowaniu starożytnych legend i przebrzmiałych a dumnych cywilizacyi. Piętno powszechności, ogólno-ludzki ton, który przebrzmiewa z jego utworów, oto, co czyniło go obcym epoce, która rozbrzmiewała bolem i walką narodu i ku konkretnym celom zestrzeliwała swe myśli, pragnienia i żądze. A nawet tam, gdzie Norwid mówi o sobie, czyni to inaczej, jak było naówczas w zwyczaju. Nie werteryzuje, nie bajronizuje, nie smaga szyderstwem i nie bryzga żółcią. To wszystko przeszedł poeta w dusznej walce, lecz na zewnątrz płyną perły pogodnej lubo bolesnej poezyi, przecudne idealizmem chrześciańskim przepojone blaski, wspaniałe i głębokie modlitwy, wstrząsające duszę.

Boży człowiek — oto ideał Norwida i takim był on też w życiu i sztuce. Chrześcianin i ideowiec — wszystko, czego się tknie, przepaja duchem chrześciańskim i roztapia w idei, takim jest Norwid, takim go przedstawił Cezary Jellenta.

Przy tej sposobności przypomnieć należy, że mniej więcej przed dwoma laty mówił w Towarzystwie Przyj. Nauk p. radca Franciszek Chłapowski o Norwidzie. Cenny wykład prelegenta wydrukowany został w dawniejszym „Kuryerze Poznańskim."

kładzie i rozrzucić go między lud. To jednak pociągnąć może za sobą konfiskatę i nowy proces o zdradę stanu, gdyż po za sprawozdaniami z parlamentu, żadne inne, a więc i takież z rozpraw sądowych nie są nietykalne.

Nowy sekretarz stanu v. Schön cieszy się wielką sympatyą Duńczyków. „Dannebrog" przedstawia go swym czytelnikom w bengalskim oświetleniu i to pod każdym względem i prorokuje mu mitrę książęcą i urząd kanclerski.

Agitacya przeciwko trzyklasowemu systemowi wyborczemu w Prusach nie milknie. Ostatniemi dniami odbyły się dwa dalsze zjazdy wolnomyślnych w Koslinie i w Landsbergu. Na oba domagano się wprowadzenia czteroprzymiotnikowego głosowania w Prusach.

Para cesarska wybiera się w pierwszej połowie listopada do Anglii, a następnie do Holandyi, celem odwiedzenia tamtejszych dworów.

W Austro-Węgrzech wiadomości o chorobie cesarza Franciszka Józefa nie schodzą z łamów gazet. Stan cesarza obaw nie budzi. Cesarz cierpi na kaszel, przyczem pojawia się nieco lekkiej febry. Monarcha pracuje jak zwykle, wstaje bardzo wcześnie, lecz wystrzega się rozmowy.

W Budapeszcie urządzili socyaliści na dniu otwarcia parlamentu jednodniowy strejk, jako manifestacyę za wprowadzeniem czteroprzymiotnikowego systemu wyborczego. W parlamencie samym dał w sprawie naprawy wyborczej odpowiedź hr. Andrassy, zapowiadając, że sprawa ta jak najrychlej rozwiązaną będzie. Izba zadowolona była z odpowiedzi ministra.

W Ameryce Północnej kwitnie agitacya za rozmaitymi kandydatami, mającymi się ubiegać o stolek prezydyalny. W marcu roku 1909 bowiem kończy się urzędowanie Roosevelta i przypuszczalnie Roosevelt już swej kandydatury nie wysunie. Ludzie, którzy wszystko wiedzą, twierdzą, że Roosevelt obejmie po ustąpieniu redakcyę jakiej gazety. Walka w Ameryce toczy się głównie pomiędzy republikanami, hołdującymi ideom imperyalistycznym, a demokratami. Ich kandydatem jest p. Bryan, który już dwa razy nieszczęśliwie kandydował. Republikanie zaś kruszą kopie za kilkoma kandydatami. Do najpoważniejszych należy obecny sekretarz stanu dla spraw wojskowych Taft, dalej dobrze u wielkich kapitalistów zapisany minister stanu Root, następnie cieszący się poparciem prasy senator Knox, oraz polecony przez byłego prezydenta Mac Kinleya wiceprezydent Fairbanks.

W Persyi, którą tymczasowo Rosya i Anglia rozdzieliły między siebie pod względem handlowym, wre i kipi. Ścierają się tam dwa prądy, wolnościowy, domagający się przeprowadzenia zasad niedawno ogłoszonej konstytucyi i reakcyjny, chcący utrzymać absolutyzm. Młody szach lawiruje to w tę, to w tamtę stronę. Lęka się postępowców, lecz nie chciałby też zbyt wiele poświęcić z swych praw. Ta niezdecydowana postawa szacha budzi nieufność w kraju, a ponieważ apetyty są bardzo rozbudzone i wiązadła spajające państwo słabe, więc już rewolucya i anarchia podniosły głowę. To naturalnie jest najpodatniejszym gruntem dla rozlicznych książąt do stawiania własnych kandydatur do tronu. Parlament, który z natury rzeczy wrogo usposobiony jest względem absolutyzmu szacha, postawił go przed alternatywę, albo podpisać konstytucyę, albo zrzec się tronu. Szach wybrał to pierwsze, przez co podebrał dużo gruntu rewolucyi, lecz zachodzi pytanie, czy rozwydrzony przez rozmaitych demagogów naród wyzbędzie się nieufności do chwiejnego władcy. Położenie więc tak kraju jak monarchy jest krytyczne.

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy", prosimy, ażeby doniesienia swoje przesłały nam najpóźniej *do środy wieczorem*. W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień wcześniej. — Za doniesienia nadesłane później, redakcya „Pracy" nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.*

* * *

Wiec w sprawie pracujących kobiet w handlu i przemyśle zwołuje Stowarzyszenie personalu żeńskiego. Wiec odbędzie się na wielkiej sali bazarowej *w niedzielę 20-go października o godzinie 7-mej wieczorem.*

Referaty.

1. O potrzebie uświadomienia kobiet w sprawach społecznych i ekonomicznych.

Nowe książki.

Mickiewicz jako polityk.

O nieśmiertelnym wieszczu naszym napisano tyle mniej lub więcej głębokich dzieł i rozpraw, że sporą można niemi zapełnić książnicę. Zdawaćby się mogło, że o tym mistrzu chyba już nic lub nie wiele nowego możnaby powiedzieć, najtęższe umysły, najlepsze pióra przecież wysilały się na wyczerpanie tego skarbca poezyi i mądrości, tego wiecznie żywego zdroju miłości ideału czem jest Adam Mickiewicz. Jednakże, jak nie wyczerpana jest otchłań, tak nie wyczerpaną jest przepastna głąb ducha tego męża, którego obok takie fenomeny ogólno-ludzkie, jakiemi byli Szekspir lub Gete, położyć należy.

Niepodobny zgoła do wyż wymienionych potentatów, jako indywidualizm artystyczny, jako temperament i kierunek twórczy, jest on jednak ich bratem po duchu i krwi, gdyż ojczyzna jego, jest tą samą, co tamtych: krainą geniusza, kędy sterczą trony nieśmiertelnych, a niepoczestny jemu przypadł w wiekuiste władanie.

On był jednym z tych rzadkich olbrzymów ducha, którzy, wzbijając się na skrzydłach natchnienia na zawrotne szczyty uniesień nadludzkich, nie zapominał o ziemi, która go wydała. On, a w tem jest podobny do Danta, zamykał w swe nieśmiertelne strofy swe czysto ziemskie pragnienia, odnoszące się do ojczyzny, do własnego znękanego narodu i jego politycznego położenia. Jednakże, chociaż najbliższy on własnemu narodowi, to jednak poezya jego, lubo wybitnie narodowa, polityczna, ma znaczenie i doniosłość ogólno-ludzką, gdyż w nieszczęściach Polski krwawi się dusza ogólno-ludzka. Nasz ból — to nie tylko ból jednego narodu, lecz równocześnie ból duszy ludzkiej, zdeptanej w swych najistotniejszych prawach, to krzyk zgwałconej i na pohańbienie wydanej ludzkości, jęczącej w przeróżnych jarzmach, w przeróżnych kątach ziemskiego globu.

Człowiek, który, jak Mickiewicz żywiołowo odczuwał duszę swego narodu, który — co więcej — cierpiał straszliwe katusze z powodu jego bezprzykładnego w historyi nieszczęścia, człowiek taki, żyjąc nadto w czasach płodnych w wielkie przewroty i przeobrażenia, nie mógł usunąć się od życia politycznego, praktycznego. Nie pozwalały na to ani stosunki, ani, co ważniejsza, organizacya uczuciowa i umysłowa wieszcza Adama.

Był on więc nie tylko poetą i teoretykiem, rzucającym doktrynę w masy, lecz był tym, który wielkie hasła pragnie urzeczywistnić, był nie dyplomatą targującym z możnymi tego świata, lecz politykiem praktycznym, mężem

2. Zawodowe:

a. Kobieta w handlu i stosunek personalu do pryncypała.

b. Pierwszorzędne krawiectwo damskie.

c. Hafty artystyczne.

3. Sprawy etyczno-społeczne.

Po referatach dyskusya.

Nie wątpimy iż Szanowne Panie uznając ważność treści wymienionych referatów, rozwiną gorliwą agitacyę wśród koleżanek i wezmą liczny udział w obradach *Wieca.*

Komitet główny.

PP.: A. Dybicka. M. Marecka. St. May. H. Plichta. M. Sczaniecka. Wł. Stawska. M. Śniegocka. Z. Tułodziecka. M. Wesołowska. K. Andrzejewski. A. Filipowicz.

Podkomitet.

PP. F. Brychczyńska. L. Bujakiewicz. W. Czajkowska. B. Długołęcka. H. Kubicka. Kossowska. S. Kleps. H. Makowska. Z. Okert. M. Reksińska. A. Tułodziecka. I. Wilczyńska. M. Wierzejewska. W. Wrzesińska. M. Zerba. M. Żurkowska.

* * *

Wiec Straży w Babimoście odbędzie się w *niedzielę dnia 20 października* o godz. 4. po poł. na sali p. *Chudzickiego.* Przemawiać będzie delegat Zarządu, p. redaktor Chociszewski. O najliczniejszy udział uprasza

Starosta i nadkomisarze.

* * *

Wiec Straży w Barcinie odbędzie się w *niedzielę, dnia 20 października* rb. o godzinie 1 w południe na sali p. Orchowskiego. Porządek dzienny: 1) Zagajenie. 2) Wybór Zarządu. 3) Sprawozdanie starosty. 4) Przemówienie delegata z Poznania: O naszem położeniu. 5) Przemówienie starosty p. Siódmiaka: Nasze wady. 6) Wybór starosty na 3 lata. 7) Wolne głosy. 8) Zakończenie. O liczny udział uprasza *Starosta.*

W niedzielę 20 bm. o godz. pół do 6 wieczorem na sali p. Rejka w *Żerkowie odbędzie się wiec,* na którym poseł nasz p. mecenas Seyda zda sprawozdanie z czynności poselskiej. Szanownych rodaków prosimy o liczny udział.

Komitet powiatowy.

* * *

Walny wiec „Straży“ dla Berlina i okolicy odbędzie się w niedzielę, dnia 20 października punktualnie o godzinie 2 po południu na wielkiej sali Kellera, przy Koppenstr. 29.

Porządek wieca:

1. Zagajenie.
2. Referat o organizacyi „Straży“ na obczyźnie.
3. Mowa posła do sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego p. dr. Zygmunta Dziembowskiego z Poznania.
4. Zapisywanie członków i wręczenie im nowych książeczek z znaczkami członkostwa.
5. Mowa mecenasa Adama Wolińskiego z Poznania.
6. Dyskusya.

Na wiec ten powinni przybyć rodacy z bliska i z daleka i zapełnić salę Kellera po brzegi. Niżej podpisany starosta „Straży“ postarał się o dwóch najlepszych mówców poznańskich, o znanego już części naszej kolonii posła Zygmunta Dziembowskiego, najlepszego dziś naszego mówcę parlamentarnego, i o nieznanego dotąd kolonii naszej osobiście lecz znanego w całej Polsce znakomitego pogromcę Carnapa i obrońcę Wrześniaków, mecenasa Adama Wolińskiego, który jest także doskonałym mówcą.

Dawno już nie występowało na naszych wiecach dwóch tak wyborowych mówców i wybitnych obywateli kraju. Chętnie oni tu przybywają, aby nas żywem słowem pokrzepić na duchu i zagrzać do obrony tego wszystkiego, cośmy z domu na obczyznę wynieśli i co przekazać powinniśmy następnym, daj Boże!, szczęśliwym pokoleniom.

Kto tylko może, niech przybędzie na walny wiec „Straży“ w niedzielę dnia 20 bm. i stwierdzi, że i na Obczyźnie pozostaliśmy wierni Ojczyźnie.

Starosta „Straży,“

Franciszek Krysiak.

Od Administracyi.

Wszystkim tym Szanownym Abonentom, którzy zapisali „Pracę“ na poczcie, a nie odebrali zaległych numerów z poczty i piszą o nie do nas, odpowiadamy, aby się na tej poczcie, na której zapisali „Pracę“, dopominali o zaległe numera, gdyż **poczta musi im dostarczyć brakujące czyli zaległe numera z bieżącego kwartału.**

Wiadomości.

* **Podziękowanie.** *Komitet Polek z Poznania,* na wysłane z okazyi jubileuszu *Elizie Orzeszkowej album pamiątkowe,* odebrał następujące podziękowanie: Tylko okoliczności zupełnie wyjątkowe sprawić mogły, że tak późno przychodzę z podziękowaniem, za pamięć, dobroć i łaskę od Szanownych rodaczek moich z Poznania otrzymaną. Spóźnionem będąc, podziękowanie to moje jest bardzo serdeczne i gorące. Prześlicznie pomyślany dar Wasz umieściłam w rzędzie najdroższych pamiątek życia i najwymowniejszych świadectw z tego losu.

czynu, pragnącym ludy wybawić z pod jarzma ówczesnych rządów.

Postać Mickiewicza - polityka oświetla nam nowa książka p. Artura Śliwińskiego. Autor, który jest zdeklarowanym wielbicielem polityka w Mickiewiczu, miał już na tem polu więcej od siebie krytycznego badacza w osobie p. Stefana Waszyńskiego, który przed kilku laty w bardzo interesującej pracy rozpatrywał historyczne i społeczne poglądy naszego wieszcza. Trudno się zgodzić z autorem, a i z samym Mickiewiczem, co do trafności jego politycznych poglądów. Mickiewicz sam siebie nazwał „człowiekiem szalonym“ a więc człowiekiem serca i uczucia, przeciwstawiając siebie „ludziom rozsądnym“, upatrującym w wskazaniach rozsądku miaromierz działań politycznych. Do tych „ludzi rozsądnych“ wbrew Mickiewiczowi pragnęlibyśmy, aby należało pokolenie dzisiejszych polityków, albowiem polityka jest sztuką osiągania w danych warunkach, danemi środkami możliwych do osiągnięcia celów. Na tej drodze zaś, sądzimy, lepszym przewodnikiem obliczający rozum, niż bezkrytyczne uczucie.

To też Mickiewicz-polityk, nie jest dla nas i nie może być przykładem. Praca p. Śliwińskiego zatem nie może być przyjęta, jako drogowskaz dla działań politycznych narodu, lecz — czem też ma być — jako cenny przyczynek do poznania duchowej organizacyi wieszcza. Jako taką witamy ją z radością. Rzuca ona jasny snop światła na postać Mickiewicza i, odchylając w nim polityka, przybliża nas do poety i myśliciela. Pokazuje, że on był zawsze tym samym, czy myślał, czy czuł, czy działał: poetą w pismach, życiu i czynach; sharmonizowaną doskonale jednostką ludzką, działającą tak, jak pisał, piszącą tak, jak działał; a zawsze najszlachetniejszy z ludzi, pełen wiary w ludzkość i we własny, nieszczęśliwy naród; prawdziwy optymista, jakim zawsze będzie dobry człowiek i dobry chrześcianin, jakim zawsze pozostać winien Polak, walczący nie tylko o swoją, lecz o ogólno-ludzką sprawę, „za waszą i naszą wolność“.

Wracając do książki p. Śliwińskiego zaznaczyć należy, że ma ona wielu ludziom bardzo wiele do powiedzenia, gdyż istotnie o politycznej działalności Mickiewicza i wyobrażeniach jego w tym kierunku, skąpe tylko płyną pomiędzy nami strugi wiedzy. Książka ta zaleca się obfitą treścią, gorącem umiłowaniem badanego przedmiotu oraz niepoślednim polotem myśli i pióra.

Również zewnętrznie dziełko przedstawia się dobrze. Życzymy mu najlepszego powodzenia.

R.

ciężkim głazem naród nasz przygniatającego. Mieszkanką Litwy jestem, więc dzielnicy kraju naszego, która zniosła i dotąd znosi wszystkie bóle, wszystkie krzywdy, wszystkie męki, jakie ludzie ludziom zadawać mogą, więc też posiadać musi najgłębsze ich odczucia u stron innych. Całem sercem, całą siłą, walkę i nędzę Waszą rozumiem i odczuwam. Bądźcie w niej i w pracy Waszej błogosławione i oby oczy Wasze ujrzały wzejście nad ziemią słońca Sprawiedliwości, którego moje oczy już nie ujrzą!

Proszę Szanowną Panią bardzo uprzejmie i bardzo serdecznie o powtórzenie podziękowań moich, pozdrowień i życzeń najlepszych wszystkim osobom, które o tej pisarskiej rocznicy mojej w sposób tak głęboko wzruszający pamiętać raczyły — i o przyjęcie wyrazów głębokiego szacunku mego, które zamykam i przesyłam w serdecznem uściśnieniu dłoni.

Grodno.

El. Orzeszkowa.

* **Sprostowanie.** W podpisie pod ryciną albumową należy czytać: *18-go października*, a nie 18-go sierpnia, jak mylnie wydrukowano *z winy zecera* pod niektóremi obrazkami.

* **Baczność!** Rodzice, którzy pragnęliby chociaż przez kilka godzin tygodniowo powierzać swe dzieci opiece godnych osób, mogą w tym celu zgłaszać się we wtorki i piątki od godziny 4—$5^1/_2$ na Rybaki nr. 6, parter, wchód z bramy na prawo.

* **Dwa razy rocznie** wypłaca procenta od depozytów Spółka Rolników Parcelacyjna (w Domu przemysłowym) w Poznaniu. Na dogodność tę nowo zaprowadzoną w interesie deponentów zwracamy szczególną uwagę czytelników.

* **Echa strejku szkolnego.** Sąd w Pobiedziskach skazał dwóch obywateli z Pobiedzisk pp. mularza Edwarda Stacheckiego na 3 dni a siodlarza Andrzeja Muszyńskiego na 14 dni więzienia. Pierwszego skazano za strejk dzieci na karę pieniężną, a kiedy jej nie zapłacił, zafantowano mu ołtarzyk pokojowy; St. nie chcąc dopuścić do wystawienia go na publiczną sprzedaż, odebrał go urzędnikowi przemocą. Muszyński zaś, który również miał karę strejkową zapłacić, odgrażał się, że jak który z urzędników przyjdzie go fantować, to siekierą mu łeb rozwali; z pewnością tylko w uniesieniu tak mu się wymówiło, a teraz musi za to pokutować.

Z powodu rozdzielania „kartek strejkowych“ między dzieci szkolne skazani zostali przez poznańską izbę karną: gospodarz Jan Stepka z Zawad na 30 marek, a żona gospodarza Wiktorya Szamiecka z Tłukaw pod Obornikami na 30 mk.

Za to samo przewinienie skazała gnieźnieńska izba karna gospodarza Kaźmierza Ressla i mistrza szewskiego Jakóba Szymańskiego ze Skorzęcina, każdego na 30 marek lub 6 dni więzienia i poniesienie kosztów procesu.

* **Proces** *ks. proboszcza Formanowicza z Modliszewka.* W znanym procesie o obrazę żandarma Gruzego, skazała gnieźnieńska izba karna w drugiej instancyi ks. prob. Formanowicza z Modliszewka na 30 marek kary i koszta.

* **Srebrne wesele** obchodził 9-go b. m. pan Wincenty Niemojowski ze Śliwnik z małżonką swoją Jadwigą, córką hrabiego Kwileckiego z Oporowa. Pan Wincenty Niemojowski znany jest z pracy swej społecznej. Nie ma prawie instytucyi polskiej, do którejby nie należał.

Jubilatom zasyłamy najserdeczniejsze życzenia.

* **Odczyt dra Gantkowskiego.** Świeżo odbywał się w mieście naszem *kongres niemieckiego Towarzystwa ku zwalczaniu alkoholizmu.* Na kongresie wygłosił między innymi uproszony przez odnośne czynniki jako lekarz przyszłej miejskiej stacyi antyalkoholicznej w Poznaniu p. dr. Gantkowski odczyt, ilustrując skutki pijaństwa na przykładach wziętych ze szpitali dla chorych i obłąkanych.

* **Nowe Towarzystwo** *katolickich robotników polskich w Poznaniu.* W ubiegłą niedzielę odbyło się w sali p. Hofmana w Górczynie zebranie, na którem założono Towarzystwo katolickich robotników polskich parafii św. Łazarza; przystąpiło zaraz do związku dyecezyalnego, liczącego już przeszło 22,000 członków. Na zebraniu przemawiali gorącemi słowami zachęty miejscowy proboszcz *ks. Teofil Kłos i ks. kanonik Adamski*, sekretarz generalny związku, i to tak skutecznie, że do nowego Towarzystwa, którego patronem jest ks. proboszcz Kłos, zapisało się przeszło 250 członków. Przez szerzenie oświaty wśród robotników zyskają wiele nie tylko oni sami — jak to podniósł ks. kanonik Adamski — lecz całe społeczeństwo, dla tego wszystkie stany powinny dla tej sprawy żywy objawiać interes.

* **Z okazyi otwarcia** nowego gmachu spedycyjnego przy ul. Colomba, do którego przeniesiono kantory z ul. Wodnej, ofiarowała firma Karola Hartwiga 500 mk. na fundusz dobroczynny imienia Hellmanna. Nowy gmach, w którym mieści się także biuro loteryjne p. Dittricha, zbudowany okazale w stylu romańskim, znajduje się przy ulicy nowo wybrukowanej, wiodącej na stare cmentarze parafii św. Marcina.

* **Konfiskata.** Sąd rzeszy w Lipsku zawyrokował konfiskatę dwóch broszur: Sześć odczytów i Liga narodowa, które wyszły drukiem w Gnieźnie. Sąd upatrywał w obu broszurach dążności zmierzające do oderwania dzielnic polskich od państwa pruskiego, ponieważ wzywają do zbierania składek na rzecz skarbu narodowego w Rapperswyl, który rzekomo w pomienionym celu został założonym.

* **Komisya kolonizacyjna** coraz ciaśniejszym otacza Poznań pierścieniem. Obecnie nabyła dworstwo w Sołaczu obszaru 120 mórg wraz z parkiem i domem mieszkalnym.

* **Z teatru.** *W sobotę:* Wystawioną będzie po raz pierwszy na scenie naszej arcydzieło modernistycznej literatury p. t. „*Edukacya Bronki,*“ komedya w 3-ch aktach Stefana Krzywoszewskiego, doskonale ilustrująca życie zakulisowe młodej artystki. Sztuka napisana nader zajmująco, odznacza się prawdą życiową i oryginalnością warszawskich typów pseudo arystokratycznych. Wystawiona po raz pierwszy w Warszawie, przyjętą została z nadzwyczajnym zapałem przez publiczność i prasę, a na scenie krakowskiej cieszy się do dziś wielkim sukcesem. (*Ceny zwyczajne*).

W niedzielę po południu o godzinie 3-ciej: „*Zażarty automobilista,*“ farsa w 3-ch aktach K. Kraatz'a. (*Ceny do połowy zniżone*).

W niedzielę wieczorem: „*Pod białym koniem,*“ komedya w 3-ch aktach (*Ceny zwyczajne*).

W poniedziałek: „*Turniej,*“ dramat w 5-ciu aktach, St. Kozłowskiego.

* **Zbąszyń**, 10-go października. Właśnie dowiedziałem się z poważnej strony, że apelacya ze strony prokuratoryi w sprawie *towarzystwa wyborczego* nie *została założoną!*

Spieszę donieść o tem do publicznej wiadomości.

Przedewszystkiem składamy publiczne podziękowanie panu mecenasowi Wolińskiemu za świetną obronę, którą przekonał sąd, że legalnie postępowaliśmy. Pan mec. Woliński podjął się obrony w sprawie narodowej *bezinteresownie*, za co mu *cześć!*

Proszę ogłosić to w więcej gazetach, ażeby i inne towarzystwa mogły w myśl zapadłego wyroku postępować. Po założeniu Towarzystwa Wyborczego powinien zarząd wypisać kurendę tak, że się werbuje członków do Towarzystwa!

Kursor musi każdemu umieć objaśnić cel podpisu, zwłaszcza jeśli chcący przystąpić do Towarzystwa nie umie czytać, co się także zdarza, jak i u nas było! Niektórzy wypierali się i w przesłuchach nie wiedzieli, o co chodzi więc trzeba nieświadomych pouczać. Skoro członek położy na przedłożonej kurendzie swój podpis, imię i nazwisko, może zaraz kursorowi dać składkę roczną. Można też najpierw zebrać podpisy i te w trzech dniach na policyi zameldować; albo obie czynności razem zameldowane być muszą.

Jeżeli żona albo córka podpisze męża lub ojca, musi ojciec na to dać pozwolenie, czyli zgodzić się na ten podpis, tj. że im było wolno podpisać. Każdy mężczyzna, który skończył lat 21, może wstąpić jako członek do Towarzystwa wyborczego.

Z kurendą winien obchodzić mąż rozumny i biegły, aby uniknąć błędów.

Za Towarzystwo wyborcze:

T. Bykowski, prezes. *A. Wierzejewski*, sekretarz.

Antoni Olejniczak, skarbnik.

(Inne pisma prosimy o powtórzenie).

* **Na sezon jesienno-zimowy** poleca p. *B. Miśkiewicz*, tuż obok pałacu Działyńskich, skład mający, materyi

Przeniesienie składu.

Moim wielce Szanownym Odbiorcom, jako też Wysokim Władzom król. i miejscowym pozwalam sobie niniejszem donieść, iż mój w roku 1858 złożony

interes spedycyjny, żeglugi, przewozu mebli, budowlany,

oraz materjałów opałowych,

z dawnego domu, przy ul. Wodnej 16, w **poniedziałek, dnia 14. października r. b.** przeniósłem

do mego nowego domu **przy ul. Colomba 15-20**

w pobliżu zamku cesarskiego i dworca towarowego (przystanek koleji elektrycznej przy pomniku Bismarcka).

Zwiedzenie lokali spedycyjnych chętnie dozwolone.

Polecając się nadal łaskawym względom, pozostaję 390

z wysokim szacunkiem

Telefon 6, 25 i 570. **Karol Hartwig.**

Przeniesienie

kantoru loteryjnego.

Od poniedziałku d. 14. października znajduje się mój

kantor loteryjny

nie przy ul. Wodnej 16., lecz przy

ulicy Colomba 15-20,

w nowym gmachu Karola Hartwiga.

(W pobliżu zamku cesarskiego i dworca towarowego. — Przystanek koleji elektrycznej przy pomniku Bismarcka.) 389

Aug. Dittrich, Król. pruski kolektor loteryjny.

Zupełnie bez konkurencyi jedyny polski zakład poleca

Wyroby z włosów





w najlepszem wykonaniu, jako to: **warkocze** począwszy od 2—20 mk., **peruczki** do modnego czesania się i dla rzadkich włosów od 4 mk., **przedziałki** dla starszych pań od 5 mk. i jakiekolwiekbądź dodatki do włosów.

Czesanie 75 fen.

St. Wenzlik,

fryzyer damski i perukarz, premiowany w Paryżu w r. 1902, w Londynie w r. 1904 etc. najwyższemi nagrodami.

Poznań O., 19 ul. Wilhelmowska 19 obok składu pana Michalskiego.

Ażeby zawodu uniknąć uprasza się uważać na nazwisko i numer domu.

P. S. **Zamówienia z prowincyi** po przesłaniu próbki włosów wyczesanych, wykonujemy odwrotną pocztą. — Własne wyczesane włosy mogą być wypracowane. — **Illustrowane cenniki na żądanie franko.** (282)

Nowości

na sezon jesienno-zimowy

w materyałach wełnianych, jedwabiach i astrachanach na kabatki

poleca w wielkim wyborze, 395

udzielając 4%-owego rabatu w **gotówce** lub **w znaczkach bronzowych**

B. Miśkiewicz

Stary Rynek 77.

obok pałacu Działyńskich.

Z. Rittera proszek do prania

bieli i konserwuje bieliznę!



Praktyczne i rozsądne gospodynie używają do prania bielizny tylko Rittera proszek

„Lessive Albin.“

Proszek ten pod gwarancyą bez kloru jest nieoceniony do prania i bielenia bielizny oraz materyałów wełnianych i bawełnianych, jedwabi, flanel i innych tkanin, również najtańszym i najlepszym środkiem do czyszczenia wszelkich sprzętów kuchennych, szkła, płyt marmurowych, garnków, drzwi, okien, podłóg i aparatów do piwa. Do nabycia w paczkach po 25 fenygów w drogeryach i handlach kolonialnych, a gdzie niema na składzie, wysyła się franko 8 paczek za 2 mk. Przy zakupnie proszę uważać na mój znaczek ochronny z moim podpisem. 255

Chemiczna fabryka

Z. Rittera

Poznań, św. Marcin 20.

Zakup zboża,

sprzedaż czystego osucia, makuchów, mąki i t. d., pod **wszelką gwarancyą** czystości poleca i dostawia do każdej stacyi kolejowej, po cenach najtańszych. Interes ten ma zastąpić w **Poznaniu Rolnika. Wydział finansowania,** zaciągania i regulowania hipotek amortyzacyjnych lub prywatnych. **Parceluję** na własny rachunek, lub za niskiem wynagrodzeniem.

G. Ritter, Poznań 392

Wodna ulica 27. **Telefon 62.**

Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.

Dla mej szwagierki, która posiada cokolwiek majątku, dobre wychowanie, i odpowiednie wykształcenie, lecz jest na obczyźnie i niema sposodności zapoznania się z polakami 402

poszukuję męża.

Panowie w średnim wieku mający zamiar się ożenić, niechaj nadeślą swe sgłoszenie do eksped. „Pracy“ pod lit. **G. S. 126.** Wdowca się nie wyklucza. Na anonimy się nie odpowiada.

LUDWIK STEVENSON.

Wyspa skarbów.

6) Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy.)

Gdy Dick powrócił z gąsiorkiem, szanowna trójka zaczęła przepijać do siebie gęstą kolejką, wnosząc przytem różne toasty, jako to:

— Za powodzenie naszej sprawy.

— Za zdrowie starego Flint'a.

A wreszcie Silver zakończył rodzajem śpiewnego recitativa:

— A to za nas. Patrzmy pilnie, skąd wiatr wieje niosąc nam szczęścia i bogactw nadzieję.

W tem jasny blask padł na mnie i oświecił dno beczki. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że księżyc zeszedł i srebrzył promieniście szczyty masztów przednich i bielejące żagle, a w tejże samej prawie chwili rozległ się głos straży z bocianiego gniazda:

— Ziemia!

ROZDZIAŁ XII.

Rada wojenna.

Usłyszałem gwałtowną bieganinę na pokładzie. Ludzie, potrącając się, wybiegali spiesznie z kajut na pomost. Wyskoczyłem w mgnieniu oka z mej beczułki i skradając się po za masztami, okrążyłem tył okrętu i zjawiłem się na pokładzie razem z doktorem Livesey i Hunterem, którzy biegli szybko ze swych kajut, usłyszawszy radosną wieść.

Cała załoga zebrała się w komplecie. Prawie równocześnie z ukazaniem się księżyca, podniósł się gęsty tuman mgły i opasał, jak obręczą, szarzejącą w oddali wyspę. Mimo to jednak, można było dojrzeć na niej dwa niskie wzgórza w stronie południowo-zachodniej, o milę odległości jedno od drugiego, a po za niem trzecią górę, znacznie wyższą, której szczyt nurzał się w gęstej mgle. Wszystkie te trzy góry miały wygląd dość stromy i kształt ostrokręgu.

Patrzałem na to, jak przez sen, gdyż nie ochłonąłem jeszcze z mego niedawnego przestrachu. A potem doleciał mię głos kapitana Smolleta, wydającego rozkazy.

Hispaniola zmieniła nieco kierunek, tak, aby pozostawić wyspę po lewej ręce od strony wschodniej.

— A teraz, moi ludzie, — odezwał się kapitan Smollet, gdy wszystko wróciło do porządku, — powiedzcież mi, czy nikt z was nie zna tej wyspy?

— Ja znam ją, sir, odpowiedział Silver. Nabierałem tam kiedyś wody, gdy byłem kucharzem na jednym statku kupieckim.

— Gdzie tu jest najdogodniejsze miejsce dla zarzucenia kotwicy? Tam ku południowi, po za tą wysepką, zdaje mi się, — pytał kapitan.

— Tak, sir. Nazywają ją Wyspą Szkieletów. Była to niegdyś główna kwatera piratów, a jeden majtek, którego mieliśmy na pokładzie, nauczył mnie nazw wszystkich miejscowości tej wyspy. To wzgórze na południe nazywa się Wzgórzem Bocianiego gniazda. Są tam trzy wzgórza, wznoszące się na jednej linii ku południowi, ale środkowe jest najwyższe, jest to tak zwana Góra Lunety, ponieważ piraci mieli zwyczaj pilnować stamtąd swych okrętów, leżących na kotwicy, gdyż przy tej wyspie czyścili oni i repegowali swoje okręty, z przeproszeniem pańskiem sir.

— Mam tu mapę, rzekł kapitan Smollet. Zobacz, czy to jest ta wyspa.

Oczy długiego Johna zaiskrzyły się jak karbunkuły, gdy wziął mapę do ręki, ale ze świeżego wyglądu papieru, domyśliłem się od razu, że spotka go bolesny zawód. Nie była to mapa, którąśmy znaleźli w kufrze Billy Bonesa, ale dokładna jej kopia, zupełna co do najdrobniejszych szczegółów, ze wszystkiemi nazwami danych miejsc, określeniem wysokości poziomu i głębokości dna morza — ale bez czerwonych krzyżyków i dopisanych wskazówek. Jakkolwiek dotkliwem musiało być jego rozczarowanie, John Silwer umiał zapanować nad niem.

— Tak, sir, odparł — to z pewnością mapa tej właśnie wyspy, a jak ładnie wykonana. Ciekaw też jestem, kto mógł ją sporządzić, piraci byli na to zbyt wielkimi nieukami, jak sądzę. A! oto jest przystań kapitana Bidds'a, — akurat, jak ją nazywał mój majtek. Istnieje tu dość silny prąd przybrzeżny, biegnie ku południowi a potem ku północy i znowu skręca na zachód. Miałeś pan słuszność, sir, żeś kazał zwinąć żagle i zostawiłeś wyspę po lewej stronie, zwłaszcza, jeżeli zamierzasz przybić do tej zatoki. Lepszej przystani nie znajdziesz pan na tych wodach.

— Dobrze, dziękuję ci, mój człowieku, rzekł kapitan Smollet. Zapytam cię, gdy będę potrzebował twej rady. Teraz możesz odejść.

Byłem zdumiony, widząc, z jaką bezczelną swobodą John Silver przyznał się do znajomości tej wyspy. Przeraziłem się też niemało, gdy odszedłszy od kapitana, zbliżył się ku mnie. Nie mógł on wprawdzie wiedzieć, że podsłuchałem jego naradę, siedząc w beczce z jabłkami, ale byłem tak oburzony jego okrucieństwem i obłudą, że zaledwie zdołałem ukryć uczucie wstrętu, gdy położył rękę na mojem ramieniu.

— Ach! — westchnął — to raj prawdziwy ta wyspa dla takich malców jak ty, Jim. Tu sobie użyjesz. Będziesz się kąpał i będziesz właził na drzewa i gonił kozy, nieprawdaż? lub drapał się po górach, sam jak koza. Na samą myśl o tem, czuję się młodszy! Omałom nawet nie zapomniał o mojej drewnianej nodze. Miła to rzecz być młodym, mieć obie nogi zdrowe! Ale pamiętaj, gdy weźmie cię chętka powłóczyć się po wyspie, szepnij tylko słówko staremu Johnowi, a już on się postara, abyś się nie wybrał z pustą torbą w drogę.

I klepiąc mię najprzyjaźniej po ramieniu oddalił się, kulejąc i zeszedł na dół.

Kapitan Smollet, Esquire i doktor Livesey rozmawiali ze sobą, siedząc na pomoście. Choć ginąłem z niecierpliwości, aby zawiadomić ich jaknajprędzej o wszystkiem, nie śmiałem przerwać im wprost rozmowy. Suszyłem sobie właśnie głowę, pod jakim by to uczynić pozorem, gdy doktor Livesey zawołał na mnie.

Zostawił on swą fajkę na dole, a ponieważ był namiętnym palaczem, chciał, bym mu ją przyniósł. Skoro tylko zbliżyłem się do doktora na tyle, by mógł mię usłyszeć bez obawy podsłuchania, szepnąłem mu natychmiast.

— Doktorze pozwól mi mówić. Zejdź z kapitanem i Esquirem do kajuty i zawołaj mię tam pod jakimkolwiek pretekstem. Dowiedziałem się strasznych rzeczy.

Doktor zbladł, ale w mgnieniu oka zapanował nad sobą.

— Dziękuję ci, Jim, rzekł głośno.

— To właśnie chciałem wiedzieć, — jak gdyby pytał mię o co.

I mówiąc to, odwrócił się i usiadł spokojnie na miejscu. Wszyscy trzej rozmawiali jeszcze przez czas jakiś i choć żaden z nich nie podniósł głosu, ani drgnął ani nie zdradził najlżejszym ruchem swego zadziwienia, było wi-

docznem, że doktor Livesey zakomunikował im moje żądanie, gdyż niebawem usłyszałem, że kapitan kazał zatrąbić Jobowi Andersonowi na znak, by cała załoga stanęła na pokładzie.

— Słuchajcie chłopcy, odezwał się kapitan Smollet, chcę wam rzec słówko. Ta wyspa, którą widzicie na horyzoncie, jest właśnie celem naszej podróży. Otóż Mister Trelawney, którego szczodrobliwość jest nam wszystkim dobrze znaną, pytał mię o wasze postępowanie, a ponieważ mogłem powiedzieć mu z czystem sumieniem, że każdy majtek pełnił swój obowiązek należycie i że jestem z was wszystkich najzupełniej zadowolony, więc postanowiliśmy, że my trzej — doktor, Esquire i ja zejdziemy na dół do kajuty, i wypijemy tam za wasze zdrowie i powodzenie, wy zaś dostaniecie tutaj podwójną porcyę grogu i wypijecie za nasze zdrowie i powodzenie. Zgodzicie się ze mną, że jest to bardzo uprzejmie ze strony Esquire'a. A zatem, jeśli nie macie nic przeciwko temu, krzyknijcie trzykrotnie głośne hurra! jak przystoi dzielnym marynarzom, na cześć gentlemana, który was tak hojnie częstuje.

Rozbrzmiało potrójne hurra! ale tak donośnie i wesoło, że zaledwie mogłem wierzyć własnym uszom, że to ci sami ludzie zmawiali się przed chwilą na naszą życie.

— Jeszcze jedno hurra! kapitanowi Smollet! zawołał długi John, gdy pierwsze okrzyki ucichły.

I to hurra! wykrzyknięto równie ochoczo.

Potem trzej gentlemani udali się na dół, a niebawem wezwano mnie do kajuty.

Gdy wszedłem, wszyscy trzej siedzieli przy stole, na którym stała butelka hiszpańskiego wina i talerz z rodzynkami. Doktor pykał szybko z fajeczki, położywszy perukę na kolanach, co oznaczało u niego silne wzruszenie. Przez otwarte okno kajuty (noc bowiem była bardzo ciepła) przeglądał księżyc, jaśniejący wysoko ponad okrętem.

— No, Hawkins, odezwał się Esquire, mówisz, że masz nam coś do oznajmienia. Gadaj więc, słuchamy.

Opowiedziałem zatem, jak mogłem najkrócej i najdokładniej całą rozmowę Silvera. Nikt mi nie przerwał aż do końca najmniejszem słowem, ani gestem, lecz wszyscy trzej gentlemani siedzieli nieruchomo, z wlepionemi we mnie, jak w tęczę, oczami.

— Jim, rzekł doktor Livesey, gdy skończyłem, usiądź, proszę.

Kazali mi usiąść obok siebie, przy stole, nalali mi szklankę wina, dali mi pełną garść rodzynków, a potem wszyscy trzej po kolei pili z uprzejmym ukłonem moje zdrowie, za niezmierną przysługę, jaką im oddałem i za szczęśliwy traf, który pozwolił mi odkryć nikczemną zdradę i za odwagę, jaką okazałem.

— Kapitanie — odezwał się Esquire.

— Pan miałeś racyę, a ja byłem w błędzie. Przyznaję, że osioł ze mnie wierutny i czekam pańskich rozkazów.

— Nie mniejszy osioł i ze mnie, odparł kapitan Smollet.

— Nie słyszałem jeszcze nigdy, by jaka załoga ukuła spisek tak zręcznie, żeby się nikt na tem nie spostrzegł. Zwykle ludzie, zamierzając jakąś zbrodnię, zdradzają się z tem mimowoli prędzej lub później. Ale ta załoga wprawia mię wprost w podziw.

— Kapitanie, wtrącił doktor, z pańskiem pozwoleniem, to sprawka Silvera. Bardzo niepospolity człowiek, istotnie.

— Ten niepospolity człowiek niepospolicie by wyglądał na szczycie masztu rejowego*) odrzucił kapitan.

Ale to jest sobie gadanie, które do niczego nie doprowadzi. Na podstawie tego, co mówił Hawkins, nasuwają mi się trzy wnioski i jeżeli mister Trelawney pozwoli, wymienię je.

— Pan, sir, jesteś kapitanem. Do ciebie należy prawo głosu, odparł mister Trelawney wspaniałomyślnie.

— A więc, zaczął kapitan Smollet, po pierwsze: Musimy płynąć dalej, ponieważ nie możemy zawrócić. Gdybym wydał rozkaz powrotu, rokosz wybuchłby w tej chwili. Powtóre — mamy czas przed sobą, przynajmniej aż do znalezienia skarbu. Po trzecie — mamy jeszcze wiernych majtków. Otóż, sir, nie ma co ukrywać, że prędzej czy później musi przyjść do krwawego starcia, proponuję zatem, by wyprzedzić okoliczności, to jest uderzyć na lotrów pewnego pięknego poranku, gdy się tego najmniej będą spodziewać. Możemy polegać na pańskiej domowej służbie mr. Trelawney?

— Jak na mnie samym, oświadczył Esquire.

— To trzech — rachował kapitan, — z nami razem siedmiu, włączając także Hawkinsa. A na ilu uczciwych majtków można liczyć?

— Prawdopodbnie na tych, których zmówił sam Trelawney, zanim wpadł na Silvera, powiedział doktor.

— Niestety, nie, zaprzeczył Esquire. Hands był jednym z nich.

— Ja sam myślałem, że można ufać Hands'owi, dodał kapitan.

— Nie! gdy pomyślę sobie, że to są Anglicy, wybuchnął Esquire, bierze mię ochota wysadzić cały okręt w powietrze.

— Trudno panowie, mówił kapitan, — położenie nasze jest dość przykre. Musimy udawać tymczasem, że się niczego nie domyślamy i mieć się pilnie na baczności. Ciężko to, wiem o tem. Daleko milej byłoby postawić rzecz na kartę i skończyć odrazu. Ale nie możemy nic przedsiębrać, póki nie wiemy, ilu majtków pozostało nam wiernych. Przyczaić się i czekać przyjaznego wiatru, — oto moja rada.

— Jim może pomódz nam więcej, niż ktokolwiek inny, odezwał się doktor. Ludzie nie krępują się wobec niego, a Jim jest chłopiec bystry.

— Hawkins, pokładam w tobie niezłomne zaufanie, — dodał uroczyście Esquire.

Pomimo tych pochlebnych komplementów ogarnęła mię niemal rozpacz, gdyż czułem się zupełnie bezradnym. A jednak dziwnym zbiegiem okoliczności, stałem się właśnie narzędziem ogólnego ocalenia. Tymczasem, cobyśmy nie uradzili, było tylko siedmiu ludzi z dwudziestu sześciu, na których mogliśmy pewnie polegać, jeden zaś z tych siedmiu był młodym chłopcem, tak, że mieliśmy po naszej stronie ledwie sześciu dorosłych ludzi przeciwko dziewiętnastu.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Moje przygody na wyspie.

Rozdział XVII.

Jak się zaczęły moje przygody na wyspie.

Kiedy nazajutrz rano wyszedłem na pokład, wygląd zewnętrzny wyspy zmienił się zupełnie. Pomimo braku wiatru, przepłynęliśmy w ciągu nocy znaczną przestrzeń drogi, a teraz staliśmy spokojnie może o pół mili na połud

*) Na okręcie zbrodniarzy wieszają na rejach. (przyp. tłum.)

niowy wschód od wyspy. Szarawe lasy pokrywały większą część jej po wierzchu. Jednostajną tę barwę, przerywały gdzieniegdzie żółtawe pasma wydm piaszczystych, zalegających, o ile można było wnosić z oddali, niższe okolice kraju, — oraz ciemna zieleń mnogich drzew gatunku świerków, które górując wyniosłym szczytem ponad innemi, rosły bądź pojedyńczo, bądź grupami. Ogólne jednak wrażenie było monotonne i posępne. Ponad lasami piętrzyły się spiralnie góry, jak amfiteatr nagich skał. Wszystkie one były dziwnego kształtu, a wzgórze Lunety, przewyższające o trzysta czy czterysta stóp wszystkie inne góry wyspy, miało też kształt najdziwaczniejszy: boki strome i spadziste, a wierzchołek ścięty nagle i zupełnie płaski, niby piedestał pod statuę pomnika.

„Hispaniola'' kołysała się gwałtownie na wzdętych falach morskich. Bałwany ocierały się z głośnym szmerem o boki statku, ster chwiał się, uderzając tam i sam, a cały okręt trzeszczał, jęczał i podskakiwał, jak fabryka. Musiałem się trzymać z całej siły za linę bocianiego gniazda, wszystko wirowało mi przed oczyma. Byłem wprawdzie niezłym żeglarzem, gdy okręt płynął naprzód, ale gdy stał w miejscu i bujał na falach, jak pusta butelka, robiło mi się słabo i chwytały mnie mdłości, a zwłaszcza rano, o pustym żołądku.

Może dla tej przyczyny, — a może przygnębiał mnie wygląd wyspy — jej stare, melancholijne lasy, dziko zjeżone skały, widok spienionych bałwanów, roztrącających się z szumem i łoskotem o strome wybrzeże, — dość, że pomimo znojnego blasku słońca i wesołego świegotu ptaków nadbrzeżnych, krążących w około okrętu, nie czułem wcale zadowolenia, jakiego, zdawałoby się, powinienby doznawać każdy żeglarz, przybijający do lądu po długim pobycie na morzu, — przeciwnie, spuściłem nos na kwintę, jak mówią i od tej chwili znienawidziłem samo wspomnienie Wyspy Skarbów.

Mieliśmy ciężką pracę przed sobą tego ranka, gdyż nie było najlżejszego śladu wiatru i należało spuścić szalupy i holować statek z pomocą wioseł przez trzy czy cztery mile, zataczając łuk około wyspy — i po przez wązką cieśninę, w górę, aż do przystani po za Wyspą Szkieletów. Wskoczyłem na ochotnika do jednej łodzi, gdzie naturalnie nie miałem nic do roboty. Upał dokuczał nieznośnie i ludzie klęli, na czem świat stoi. Anderson dowodził moją łodzią, lecz zamiast utrzymywać porządek, szemrał głośniej, niż inni.

— No, przynajmniej niedługo to się skończy — mruknął, dodając brutalne przekleństwo.

Wydało mi się to bardzo złym znakiem, gdyż dotąd majtkowie pełnili żwawo i ochoczo wszystkie swe obowiązki, ale sam widok wyspy rozluźnił widocznie więzy karności.

Przez całą drogę John Silver stał u steru i prowadził okręt. Znał on cieśninę, jak własną kieszeń i chociaż ołowianka wykazywała większą głąb wody, niż na mapie, Długi John nie zawahał się ani na chwilę.

— Przypływ tu bardzo silny, — mówił, — a ta cieśnina jest tak wązka, iż możnaby rzec, że ją wykopano łopatą.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, oznaczonem na mapie kotwicą, w odległości może jednej trzeciej części mili od obu brzegów, pomiędzy głównym lądem a Wyspą Szkieletów. Dno było piaszczyste. Plusk zarzuconej kotwicy spłoszył całą chmarę ptaków, które z głośnym krzykiem zaczęły kołować, trzepocąc skrzydłami, ponad lasem. Ale po chwili uspokoiły się i umilkły, potem zaległa znowu niezmącona cisza.

Maleńka ta przystań była ze wszech stron zamknięta lądem i jakby zagrzebana w lasach. Drzewa rosły na samem wybrzeżu, które było wogóle dość płaskie, tylko w pewnem oddaleniu wznosiły się góry na kształt amfiteatru, rozsiane nierównomiernie, tam i sam. Do tej niby sadzawki, jakby tę przystań można nazwać, wpadały dwie błotniste rzeczki, a cała roślinność na tej części wybrzeża świeciła jakimś niezdrowym, jadowitym połyskiem. W głębi wznosił się mały fort, otoczony palisadą, ale nie mogliśmy go dostrzedz z okrętu poza osłaniającemi go drzewami. Gdyby nie mapa, możnaby sądzić, że my pierwsi przybyliśmy tutaj, odkąd wyspa wyłoniła się z głębi morza.

Było tak cicho, że ani listek się nie ruszył i nie dolatywał żaden dźwięk oprócz głuchego poszumu fal, uderzających o pół mili od nas o skały nadbrzeżne. Szczególna woń stojących wód unosiła się po nad całą przystanią, — woń gnijących liści i zmurszałego drzewa. Zobaczyłem, że doktor zaczął pociągać gniewnie nosem, jak gdyby wąchał zgniłe jajo.

Nie wiem, czy tu są skarby — rzekł — ale stawiam o zakład moją perukę, że panuje tu porządna febra.

Jeżeli zachowanie się ludzi na łodzi było niepokojącem, to stało się ono wprost groźnem, gdy majtkowie wrócili na okręt. Leżeli na pokładzie mrócząc i spierając się nieustannie między sobą. Najlżejszy rozkaz przyjmowany był ponuro i niedbale. Nawet uczciwi majtkowie musieli się pozarażać tym zgubnym duchem, gdyż żaden nie był lepszy. Było jasnem, że rokosz zawisnął nad nami, jak chmura gradowa.

Lecz nietylko my, partya kajutowa, spostrzegliśmy niebezpieczeństwo, Długi John starał się ze wszystkich sił przywrócić porządek, chodził od grupy do grupy, namawiał i przekonywał, dając sam osobiście najlepszy przykład. Przechodził po prostu sam siebie w uprzejmości i gorliwości, dla każdego miał miłe słówko, lub uśmiech przyjazny. Usłyszawszy jaki rozkaz, podbiegał natychmiast na swej kuli, odpowiadając: „tak, tak, sir'' — najweselej w świecie. Wreszcie, nie mogąc dać rady, zaczął śpiewać i wyśpiewał wszystkie swoje śpiewki po kolei, jakby chcąc pokryć ogólne niezadowolenie.

Ze wszystkich złowróżbnych oznak tego ponurego popołudnia, widoczny ów niepokój Długiego Johna wydał się nam najbardziej zatrważającym.

Złożyliśmy naradę w kajucie.

— Sir — odezwał się kapitan — jeżeli zaryzykuję inny rozkaz, cała załoga rzuci się na nas, jak jeden mąż. Widzicie panowie, jak rzeczy stoją. Odpowie mi który hardo, nieprawdaż? Otóż, jeżeli go skarcę, wezmą się natychmiast do toporów, a jeżeli puszczę zuchwalstwo mimo uszu, Silver spostrzeże wnet, że coś się pod tem kryje i wszystko przepadło. Jeden jest tylko człowiek, na którym obecnie możemy polegać.

— Któż to taki? — zapytał Esquire.

— Silver, sir — odparł kapitan. — Chciałby on nie mniej od nas uciszyć załogę. Może przyszłoby to łatwiej, gdyby mu w tem pomogła jaka przyjazna okoliczność. Dajmy więc ludziom swobodne popołudnie i pozwólmy im udać się na wybrzeże. Jeżeli pójdą wszyscy, to przynajmniej będziemy mieć okręt w naszym ręku. Jeżeli nie pójdzie żaden, nie pozostanie nam nic innego, jak zamknąć się w kajucie i powierzyć Bogu obronę słusznej sprawy. Jeżeli pojadą choć niektórzy, wspomnijcie panowie moje słowa, Silver przywiedzie ich z powrotem potulnych, jak baranków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRACA
Tygodnik illustrowany

Z bieżącej chwili.

Pierwszy biskup polski w Ameryce.

Wielokrotne zabiegi rodaków naszych amerykańskich odniosły nareszcie swój skutek w Watykanie. Żądaniu tak bardzo słusznemu pozyskania własnego polskiego duszpasterza staje się zadość!

Polacy amerykańscy pragnęli wprawdzie otrzymać swoją odrębną polską dyecezyę, ale dobrze przynajmniej, że choć pozyskają biskupa-sufragana polskiego przy archidyecezyi chicagowskiej.

Nominowanie biskupa-rodaka, dzięki specyalnemu ustępstwu Piusa X., odbywać się będzie z woli duchowieństwa polskiego, drogą tajnego głosowania. Tylko kapłan polski, który otrzyma większość głosów, może uzyskać sankcyę w Watykanie.

Stósownie do tego życzenia Stolicy apostolskiej, arcybiskup chicagowski ks. Quigley na zebraniu wszystkich polskich proboszczów, celem omówienia sprawy zakupna gruntu pod polski dom sierot, oznajmił:

„Czcigodni ojcowie, spotyka mnie zaszczyt zawiadomienia was o wiadomości, otrzymanej z kongregacyi *„de propaganda fide,“* która na życzenie Ojca św. postanowiła zamianować Polaka sufraganem w archidyecezyi chicagowskiej. Ów biskup-sufragan spełniać będzie funkcye biskupa nie tylko dla Polaków, ale wszystkich wiernych w archidyecezyi.

„Biskupem tym będzie ten, którego wybiorą księża polscy z naszej archidyecezyi. Aby tę sprawę prędko załatwić, przystąpimy natychmiast do głosowania.“

Głosowanie odbyło się natychmiast kartkami; głosującym nie pozwolono nawet naradzić się między sobą. Ci proboszczowie, którzy byli nieobecni, zostali następnie wezwani do oddania głosu listownie. Po zebraniu wszystkich głosów arcybiskup odesłał je do Rzymu, gdzie Kurya na podstawie tego głosowania zamianuje biskupa-sufragana. Decyzya dotąd jeszcze nie nadeszła.

Wśród księży polskich w Chicago panuje ogólne przekonanie, że biskupem wybrany został, i będzie mianowany ks. Kazimierz Sztuczko, proboszcz parafii św. Trójcy w Chicago, cieszący się ogólną sympatyą u ogółu Polaków ze wszystkich obozów. Jest on prezesem Polskiej Federacyi Katolickiej w Ameryce i kapelanem Związku Narodowsgo Polskiego.



Ks. Kazimierz Sztuczko,
przewidywany kandydat na polską katedrę biskupią w Ameryce (Chicago).

Jedno z pierwszych na gruncie Kościoła zwycięstw Polaków w wytrwałej, choć cichej walce, z obcymi, głównie niemieckimi i irlandzkimi biskupami w Ameryce, napawa Polonię szczerą otuchą doprowadzenia nareszcie do zupełnego wyzwolenia się z pod ucisku hierarchii obcych narodowości, wykazujących stale silne tendencye do steroryzowania i zamerykanizowania naszych licznych kolonii polskich na drugiej półkuli.

Konsekracya kościoła
w Ostrowie.

Od kilkuset lat nie widział Ostrów konsekracyi kościoła.

Najprzew. ks. biskup Likowski przybył wraz z kapelanem swoim ks. Detloffem w ubiegłą sobotę w południe do Ostrowa, ażeby dokonać tego uroczystego aktu. Na dworcu przyjęli go ksiądz dziekan Grośty z Odolanowa, ks. proboszcz Zborowski i zastępca księcia patrona, p. Zakrzewski z Czachór. Dzwony z wieży kościoła oznajmiły zgromadzonym u wejścia do świątyni parafianom, że dostojny gość zbliża się do kościoła. Jedno z licznie zebranych dzieci, Anna Witkowska, przywitała zwierzchnika dyecezyi pięknym wierszykiem i kwiatami, a następnie w uroczystej procesyi, przy dźwiękach wspaniałego „Ecce sacerdos magnus“, (Oto wielki kapłan), z rozwiniętemi sztandarami wprowadzono go do kościoła, gdzie u stóp ołtarza serdecznie przemówił do księdza biskupa miejscowy proboszcz. Ks. biskup odpowiedział dłuższą mową z kazalnicy, tłomacząc między innemi wielkie znaczenie nowowybudowanej świątyni.

Około godziny 4-tej przystąpił ks. biskup do udzielania sakramentu bierzmowania. Wieczorem przyjął delegacye wszystkich towarzystw i stowarzyszeń, w których imieniu przemówił p. dr. Szostakowski. Ks. biskup był widocznie uradowany, widząc tak poważną liczbę środowisk naszej pracy społecznej i odpowiedział, kładąc nacisk na potrzebę takiej łączności i na błogie skutki, jakie taka praca przynosi.

Ks. proboszcz następnie przedstawił osobiście wszystkich delegatów. Obecni byli przedstawiciele Stowarzy-

szenia i Bractwa dzieci pod wezwaniem św. Anioła Stróża, Tow. terminatorów Czeladzi katolickiej, Tow. robotników, Młodzieży kupieckiej, Kupców, Cyklistów, Czytelni dla kobiet, Kółka literackkiego, Tow. śpiewu z Ostrowa, Krempy i Przygodzic, Chóru kościelnego, Kółek rólniczych z Ostrowa i Jankowa przygodzkiego, poszczególnych filii związków zawodowych robotników, murarzy i cieśli, krawców i stolarzy. Bractwa szewskiego, Wyzwolenia, Komitetu odczytów ludowych, Towarzystwa Czytelni Ludowych.

W niedzielę o pół do 8-mej rozpoczęły się uroczystości konsekracyjne procesyą z Domu Katolickiego do bram kościoła, a trwały do godziny 10-tej; następnie odbyło się uroczyste wprowadzenie proboszcza ks. Henryka Zborowskiego do kościoła i wprowadzenie go w urząd duszpasterza miejscowego. Ks. biskup rozwinął przy tej sposobności w swojem przemówieniu wzniośle obowiązki proboszcza parafii i obowiązki parafian wobec niego, a ks. proboszcz odpowiedział ser-



Ks. wikaryusz Marcin Kowalczyk z Ostrowa.

decznem zapewnieniem, że świadom tej wielkiej odpowiedzialności i ogromu pracy go czekającej, pragnie poświęcić swe siły i życie, ażeby odpowiedzieć powołaniu swojemu, ufny w pomoc Bożą i zaufanie parafian swoich.

Wspaniałą sumą pontyfikalną z asystą i odśpiewaniem hymnu „Te Deum,“ zakończyła się uroczystość konsekracyi kościoła.

Po południu po nieszporach udzielał znowu ks. biskup sakramentu bierzmowania przez kilka godzin.

Wieczorem zgromadził ks. proboszcz na wielkiej sali probostwa okoliczne duchowieństwo i przedstawicieli parafii. Wzniesiono zdrowia: ks. biskupa, księcia patrona Ferdynanda Radziwiłła, ciężko dotkniętego śmiercią swego brata, ks. proboszcza



Ks. proboszcz Henryk Zborowski z Ostrowa.

Zborowskiego, parafii ostrowskiej, budowniczego p. Sławskiego i artysty rzeźbiarza p. Marcinkowskiego.

Zgromadziły się tysiączne tłumy ludu w pięknie oświetlonym ogrodzie proboszczowskim. Przed werandą stanęło miejscowe Towarzystwo Spiewu, dając na cześć dostojnego gościa koncert.

Ks. biskup dziękował za miłą niespodziankę, zachęcając do pielęgnowania obok śpiewu kościelnego, także pięknej naszej pieśni rodzinnej.

Dzieci — mianowicie Ewa i Zosia Wagnerówny, Janina Wesołowska i Tosia Prauzińska — wierszami i kwiatami, a zebrani obywatele grzmiącem „Niech żyje“ dziękowali ks. biskupowi za wszystkie trudy dla parafii podjęte.



Ks. wikaryusz Arkadjusz Lisiecki z Ostrowa.

Przy tej i przy innych sposobnościach zauważono, że ks. biskup chętnie pozwalał dziatwie zbliżać się do siebie, rozmawiał z nią łaskawie, i obdarzył upominkami.

Pieśnią „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ zakończył się ten dzień uroczysty.

W poniedziałek poświęcał ks. biskup boczne ołtarze nowej świątyni, a wieczorem odjechał do Antonina, na pogrzeb ks. Karola Radziwiłła, który się odbył dnia następnego.

We wtorek odwiedził sąsiednią Chynowę, która mu zawdzięcza osobnego duszpasterza. Lud witał go z uniesieniem; pierwszy to raz te strony gościły u siebie biskupa.

Pospiesznym pociągiem w środę w południe opuścił Dostojny Gość Ostrów. *„G. O.“*

Nowa walka kulturna.

XVII.

Ks. prob. Antoniego Bolczewskiego z Gościeszyna

skazała izba karna w Bydgoszczy *na trzy miesiące* więzienia za wykroczenie przeciwko sławnemu paragrafowi 110 kodeksu karnego. Ks. proboszczowi zarzucało oskarżenie nawoływanie publiczne w kościele do nieposłuszeństwa wobec władzy, czyli nawoływanie rodziców, by nie pozwalali dzieciom swym odpowiadać w nauce religii po niemiecku.

Prokurator wniósł o 300 marek kary, sąd zaś wydał wyrok powyższy.

Od Redakcyi. Poczyniliśmy starania o fotografię ks. B., jeżeli ją otrzymamy zamieścimy podobiznę w jednym z następnych numerów.

* * *

Ks. wikaryusz Stanisław Posadzy z Szubina przed sądem karnym w Bydgoszczy

Dnia 10-go maja r. b. zasiadł na ławie oskarżonych przed sądem ławniczym w Szubinie *ks. Stanisław Posadzy wikaryusz z Szubina.* Oskarzenie zarzucało mu, jakoby w jesieni zeszłego roku namawiał dzieci uczęszczające do niego na naukę przygotowawczą do spowiedzi św. do oporu przeciw władzom szkolnym.

Na termin zawezwano 20 świadków: *16 dzieci i 4 nauczycieli.*

Troje świadków — najgorsze prawie dzieci z miasta — w terminie z płaczem cofnęło swe zeznania uczynione przed sędzią śledczym, twierdząc, że *nauczyciel p. Fulst* pod surową karą kazał im tak zeznawać i one li tylko pod grozą kary przeciw księdzu rzeczy nieprawdziwe zeznawały. Natomiast p. *Fulst zeznał pod przysięgą,*

iż od wielu dzieci słyszał, że ks. wikaryusz im zakazał w religii po niemiecku odpowiadać, żeby im języki powyrywał i żeby je posłał na religię do ewangelickiej szkoły.

Temu wszystkiemu świadkowie dowodowi i odwodowi stanowczo zaprzeczyli. Zastępca prokuratora wniósł jednak o *karę 500 marek.*

Ks. Posadzy bronił się sam, kładąc nacisk głównie na to, dlaczego p. Fulst słysząc od wielu dzieci, jakoby ksiądz je namawiał do strejku, wybrał sobie właśnie dzieci moralnie i umysłowo najniżej stojące, dzieci, które bardzo słabo po niemiecku władają, od których jaką kto chce otrzymać może odpowiedź. *„Jeżeli zaś koniecznie chcecie mnie skazać panowie — tak zakończył ks. Posadzy swe przemówienie — natenczas proszę, stawcie mi świadków wiarogodnych, świadków, na których zeznaniach będzie można polegać, a ja gotów jestem przyjąć jakąkolwiek bądź karę, na którą mnie skarżecie i owszem cieszyć się będę, że mi daną*



Ks. Stanisław Posadzy, wikaryusz ze Szubina.

będzie sposobność razem z dziećmi cierpieć.“

Po dłuższej naradzie *sąd zawyrokował 50 marek kary lub 5 dni więzienia.*

Tak ks. Posadzy jak też prokurator odnieśli się do wyższej instancyi mianowicie do izby karnej w Bydgoszczy z apelacyą, która dnia 5-go b. m. ponownie rozpatrywała powyższą sprawę i skazała ks. P. w myśl wniosku prokuratora na *miesiąc więzienia.*

* * *

Proces o karty z widokiem.

W Gnieźnie toczył się dnia 10-go b. m. proces o karty z widokiem strejkujących dzieci miłosławskich, klęczących pod krzyżem. Karty te nosiły napis: „Miłosław. Modlitwa dzieci o wytrwanie.“ Na ławie oskarżonych zasiedli syn gospodarski Wojciech Budacz z Czeszewa, fotochemigraf Antoni Fiedler z Poznania i kupiec Basiński z Miłosławia. Panom tym wytoczono proces o przekroczenie § 110 kodeksu karnego. Oskarżonych skazano każdego na *100 marek kary.*

Od Redakcyi. Skazany w powyższym pracesie na 100 marek kary pan Antoni Fiedler z Poznania, właściciel zakładu fotochemigraficznego przy ulicy Długiej nr. 11, rzutki, sumienny i pracowity przemysłowiec na niwie fotochemigrafii, rozpoczął



Antoni Fiedler,
właściciel zakładu artystyczno-chemigraficznego w Poznaniu.

świeżo wydawać własnym nakładem, zeszytami w kolorach, jak wiadomo, „Herby Szlachty Polskiej.“ Wydawnictwo to artystyczne i wspaniałe przyniesie bez wątpienia zaszczyt p. Fiedlerowi.



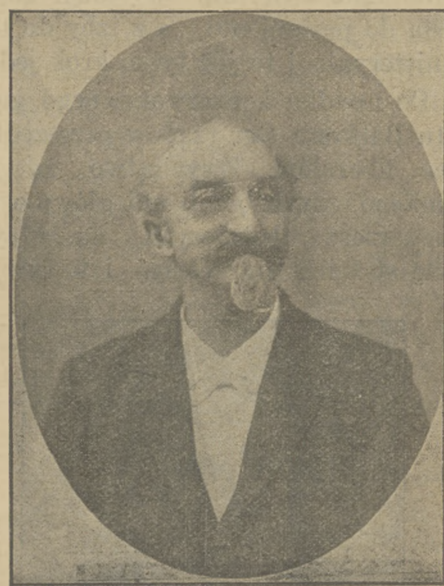
Włodzimierz Nałęcz,
artysta-malarz z Warszawy, którego cykl pięknych obrazów w liczbie 38 znajduje się na wystawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych przy ulicy Bismarcka 1 I. p.

Twórca kantaty

p. t. „Pieśń o ziemi naszej,“ — którą w ubiegłą niedzielę odśpiewały z towarzyszeniem fortepianu na wielkiej sali Lamberta zjednoczone Koła śpiewackie z Poznania, Jerzyc i św. Łazarza, — Bolesław Dembiński, ur. się w Poznaniu 9-go maja 1833-go roku, z ojca Macieja i Nepomuceny z Pawłowskich.

Bolesław Dembiński, dzielny kompozytor, jest od przeszło lat 50 dyrektorem chóru katedralnego w Poznaniu. Kilkaset rękopisów niepośledniej wartości, przeważnie treści narodowej, z których mała tylko liczba została dotąd publikowana, oto rezultat skrzętnej jego pracy.

„Pieśń o ziemi naszej,“ jest polyfoniczną kompozycyą większych rozmiarów w 6-ciu ustępach oddzielnych, na sola i chóry męskie z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej. Pod-



Bolesław Dembiński,
jubilat, kompozytor wielkopolski.

czas karnawału w roku 1875-tym wystąpił D. po raz pierwszy w Poznaniu z wspaniałem swem dziełem, które zadedykował ś. p. I. J. Kraszewskiemu, z okazyi jego jubileuszu, jako dar od Muzy wielkopolskiej. — Dzieło to przyjęła tak publiczność jak też krytyka z niebywałym entuzyazmem.

Sędziwy Jubilat obchodził w roku 1904-ym *trzeci z rzędu jubileusz dyamentowy* uczciwej pracy na polu Muzy ojczystej.

Idea krzewienia „Pieśni polskiej“ znalazła w nim gorliwego apostoła. Dzisiejszy „Związek śpiewacki“ w Poznańskiem i w Ameryce, skrzętne „Kółka“ śpiewackie na Śląsku i w Westfalii — wszystko to jest chlubnym rezultatem wieloletnich zabiegów Jubilata.

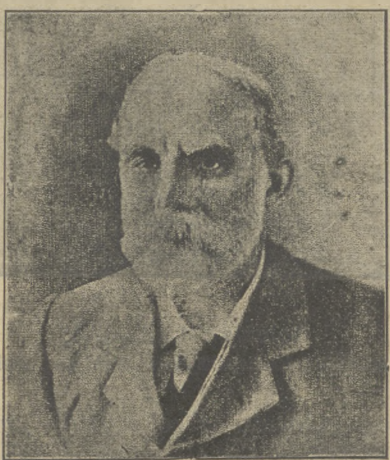
Angielski minister-robotnik.

John Burns, minister angielski administracyi lokalnej, z zawodu robotnik, odwiedza stolice europejskie, pragnąc bliżej zapoznać się z urządzeniami socyalnemi na kontynencie. Wizyta to nieprzeciętnego w dziejach państwowych Europy gościa, nie dziw więc, że budzi powszechnie niebywałą sensacyę.

W burżuazyjnych pojęciach naszych prawie pomieścić się nie chce, aby oderwany od pracy fizycznej, zwykły wyrobnik mógł kiedykolwiek stanąć na czele ministeryum i w dodatku w Londynie, gdzie przywykliśmy widzieć u steru rządu wytwornych działaczów we frakach i nieodłącznych cylindrach.

John Burns zawdzięcza karyerę swoją polityczną niezmordowanej pracy nad sobą i pełnym poświęcenia zabiegom około polepszenia doli robotników angielskich; oni wysunęli go na posła do parlamentu, a z izby do teki ministeryalnej to już tylko krok jeden.

Po upadku konserwatywnego gabinetu Balfoura ster rządów przeszedł w ręce liberałów. Zwycięstwo to, jak wiadomo, zawdzięczali oni głównie pomocy rzesz robotniczych, na których czele stał ich przywódca i towarzysz



John Burns, minister-robotnik.

pracy, John Burns. W zamian za okazaną pomoc liberałowie powołali posła-robotnika na stanowisko ministra, dyrygującego biegiem rozwoju spraw socyalnych w Anglii.

Minister-robotnik nie jest z przekonań socyalistą według modły niemieckiej czy francuskkiej, a zwłaszcza rosyjskiej socyaldemokracyi. John Burns pragnie poprawy bytu robotników w ramach obecnego ustroju społecznego.

W Berlinie w czasie ostatniej wizyty ministra-robotnika angielskiego władze państwowe przyjmowały go ze wszelkimi wyjątkowymi honorami, przynależnymi wielkiemu dygnitarzowi sąsiedniego mocarstwa.

Dzienniki i tygodniki poświęcają Burnsowi specyalne artykuły i umieszczają portrety.

Angielski jenerał French

udaje się niebawem w podróż urzędową do Rosyi, celem zbadania stanu armii rosyjskiej, która mimo wszystko jest



Angielski generał French.

jeszcze potężnym czynnikiem w świecie i łatwo za pomocą finansów angielskich dałaby się przekształcić na pierwszorzędną potęgę.

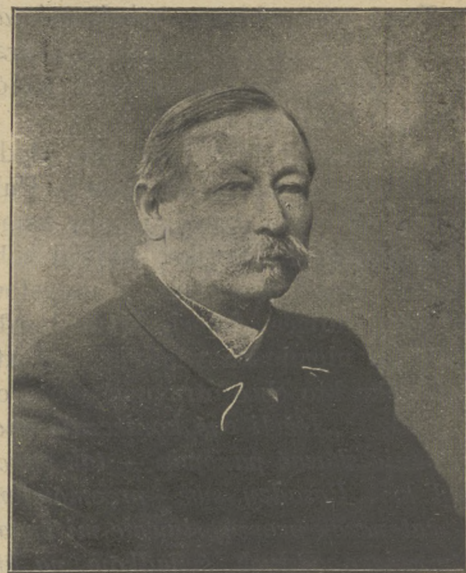
†

Z żałobnej karty.

Śp. dr. Władysław Łebiński.

Dnia 9-go b. m. zakończył w Poznaniu życie śp. dr. Władysław Łebiński, naczelny redaktor „Dziennika Pozn.", po dłuższej, ciężkiej chorobie w 67-ym roku życia.

Śp. dr. Wład. Łebiński urodził się 3-go października 1840 roku w Strażkach w powiecie świeckim w Prusach Zachodnich, gdzie ojciec jego posiadał własność. Zmarły po skończeniu studyów uniwersyteckich w Wrocławiu był przez krótki czas redaktorem „Gaz. Toruńskiej." W roku 1870 przybył z Prus Zachodnich do Poznania, a nabywszy w tym czasie drukarnię J. I. Kraszewskiego w Dreźnie, przeniósł ją ś. p. dr. Władysław Łebiński do Poznania. Było naówczas przepisem, iż właściciele drukarń, zajmujący się wydawnictwem czynnie, złożyć musieli dowody uzdolnienia technicznego. Sprostał tym wymaganiom prawnym śp. dr. Władysław Łebiński, ucząc się przez rok cały zecerstwa i tych wszystkich prac, które z tą sztuką są powiązane. Niebawem zyskała drukarnia śp. dr. Łebińskiego rozgłos, bo pod jego umiejętnem kierownictwewm wykonywano tak piękne druki, że śmiało konkurować mogły z zagranicznemi. Wkrótce oficyna dr. Łebińskiego, która zawsze jeszcze ze względu na pamięć znakomitego pisarza naszego, tytuł nosiła drukarni J. I. Kraszewskiego, pozyskała wydawnictwo „Dziennika Poznańskiego," wychodzącego do owej chwili w drukarni Merzbacha. Po kilkunastu latach dr. Ł. sprzedał drukarnię spółce „Dziennika Pozn."



† Ś. p. Dr. Władysław Łebiński.

W czasie tym próbował wydawać kilka pism dla warstw średnich, które w krótkim czasie podupadły dla braku poparcia. Zajmował się także z zamiłowaniem literaturą, wydał kilka dramatycznych obrazków, między innymi, „Oryla," grywanego często w Towarzystwach przemysłowych; napisał także kilka rozpraw historycznych.

Roku 1884 wydawać zaczął śp. dr. Łebiński pismo w niemieckim języku o tendencyi polskiej p. t. „Polnische Correspondenz." Gdzie drwa rąbią, tam i wióry padają. Doznał prawdziwości tego przysłowia zmarły i na sobie, podczas swej działalności redaktorskiej. Z powodu artykułu w „Polnische Correspondenz" zamieszczonego, osądzono nietylko odpowiedzialnego redaktora p. Jastrzębskiego, ale i wydawcę pisma tego śp. dr. Łebińskiego na karę więzienną, wyznaczając p. Jastrzębskiemu miesiąc, śp. dr. Łebińskiemu dwa miesiące więzienia.

Dzieląc los tylu innych bojowników na niwie narodowej, odsiadywać musiał i śp. dr. Łebiński 1884 r. tę kaźń pruską w Poznaniu, gdzie — traktowano go jako zwyczajnego przestępcę, który pospołu z innymi jadać musiał z kotła. Skutkiem tego rozchorował się i czasowo wypuszczonym został na wolność. Sprawę tę poruszył poseł Kantak w Berlinie i tej to okoliczności zawdzięczać należy, że obejście się z więźniem było później łagodniejsze.

Zmarły brał czynny udział we wszystkich sprawach publicznych, poczynając od sekretaryatu w starem Towarzystwie Przemysłowem. Czynny udział brał mianowicie w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, w Czytelni Ludowej, przez pewien czas także w komitetach wyborczych. Polityką również się żywo zajmował, tak podczas pierwszej walki kulturnej, jak w czasie polityki ugodowej. Zdanie swoje wypowiadał w licznych artykułach, w „Dzien. Pozn.“ zamieszczanych, a mianowicie w petersburskim „Kraju,“ którego był przez długie lata stałym korespondentem. W „Weście“ piastował urząd dyrektora technicznego, w roku 1884 był radnym miejskim, a w roku 1896 powołano go na redaktora „Dzien. Pozn.“ po śp. Franciszku Dobrowolskim.

Nieboszczyk był dobrym Polakiem, ojcem rodziny wzorowym, dziennikarzem zdolnym, działaczem zawsze wytrwale i konsekwentnie pracującym w kierunku, uznanym przez siebie za dobry dla społeczeństwa. Ojczyźnie dług spłacił, biorąc udział w roku 1863.

Przez całe życie odznaczał się śp. dr. Wł. Łebiński wielką pracowitością, wytrwałością, zabiegliwością — a temi cnotami dawał przykład innym.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie, a ziemia ojczysta niechaj Mu lekką będzie!

* * *

Pogrzeb śp. dra Wł. Łebińskiego odbył się dnia 12-go b. m. o godz. 4-tej po południu z domu żałoby przy Podgórnej ulicy 8 na cmentarz stary świętomarciński przy licznym udziale publiczności. W domu przy trumnie przemawiali w ciepłych słowach: pp. poseł radzca Mizerski, szambelan Stefan Cegielski i dr. Wacław Swiniarski. Kondukt żałobny prowadził w otoczeniu około 25-ciu księży ks. biskup Likowski. Na czele kondukktu postępowała delegacya Koła Spiewackiego polskiego z chorągwią, następnie szły delegacye z wieńcami: od redakcyi „Dzien. Pozn.“, od dyrekcyi „Westy“ i od „Stowarzyszenia Drukarzy polskich.“ Na trumnie złożono liczne wieńce od rodziny i przyjaciół, a obok trumny niesiono obok innych wieniec od Kaszubów z napisem: „Swemu najdzielniejszemu Synowi (rodzina Łebińskich pochodzi z Kaszub) i opiekunowi — smutne Kaszuby.“ Nad grobem krótko, lecz pięknie przemówił ks. kanonik dr. Dalbor, poczem spuszczono trumnę do wymurowanego grobu.

Bój pod Lipskiem.

(Wspomnienie historyczne z 1813-go roku)

Poczerniały orły złote,
Orły Francyi poczerniały —
Skrwawił jasne swoje pióra
I nasz srebrny orzeł biały!

— Dalej, dalej orły moje,
W nowe trudy, w nowe boje!
W słońcu chwały wam wyzłocić,
Wysłonecznić pióra swoje! —

Rzekł Napoleon, ręką skinął,
Resztę armii swej rozwinął.
A z nim losy swoje wiąże
Poniatowski Józef książę.

Pod Lipskiem się Sasy bronią,
Nad Elstery modrej tonią,
Nad Elstery modre wody
Ciągnie nasz bohater młody!

Już jesienne słońce wstało,
W nurtach rzeki się przejrzało.
Poniatowski się tam bije,
I Francuzów odwrót kryje.

Napoleońskie sławne roty
I konnice i piechoty
Cofają się w głuchej ciszy,
Nikt tam strzału nie dosłyszy.

Wyczerpany w głodzie, w znoju,
Nie ma Francuz już naboju —
Tylko piersi i pałasze
Zasłaniają go tam nasze.

Tak z pod Lipska uszli cało;
Tak ich nakrył swoją chwałą,
Swojej szabli błyskawicą,
Książę Józef z swą konnicą.

Przez Elsterę idą nasi,
A w tem most zapalą Sasi.
Już odcięta dla nas droga
Hufce polskie — w mocy wroga.

Książę Józef w nurty spojrzał,
W bok rumaka wbił ostrogę —
— Bóg mi honor dał Polaków,
Bogu tylko zdać go mogę!

Ściągnął uzdę, szablą błysnął,
Wzniósł ku niebu modre oczy.
— Za mną wiaro moja! krzyknie
I w spienione nurty skoczy!

Poniosły go wody sine,
W głąb śmiertelną go poniosły,
A gdzie zginął nasz bohater,
Smutne wierzby tam wyrosły!

Jan Sawa.

Dziewięćdziesiątaczwarta
rocznica zgonu
księcia Józefa Poniatowskiego.

Jedną z bohaterskich postaci w dziejach naszych z ostatniej doby istnienia Polski niezależnej jest książę Józef Poniatowski, bratanek króla Stanisława Augusta.

Książę Józef urodził się w Wiedniu, w pałacu Kińskych przy Herrengasse, d. 7 maja 1763 roku. Ojcem jego był Andrzej, jenerał a potem feldcechmistrz w wojsku austyackiem; matką Herula Teresa hrabianka Kinsky, pochodząca ze starożytnego rodu czeskiego Pomimo, że brat starszy, Stanisław August, został w roku 1764 królem, Andrzej, który czynnie popierał jego wybór, nie przeniósł się do Polski, lecz w dalszym ciągu służył w wojsku austryackiem. Na sejmie koronacyjnym, cała rodzina Poniatowskich otrzymała tytuł dziedzicznych książąt polskich, Andrzej zaś dostał nadto od cesarzowej Maryi Teresy dyplom książęcy czeski. Zmarł w sile wieku w r. 1773 i został pochowany w katedrze Św. Stefana.

Książę Józef odebrał wychowanie nader staranne pod kierunkiem stryja, w r. 1780 wstąpił także do wojska austryackiego, a w ośm lat później brał udział w nieszczęśliwej wojnie tureckiej, gdzie przy szturmie twierdzy Sabaczu otrzymał niebezpieczną ranę w udo. W r. 1789, jako pułkownik, podał się do dymisyi, gdyż wzywano go do kraju dla organizowania wojska. Do pracy tj zabrał się bez zwłoki, szczerze, gruntownie, z większą, niż się zwykle przypuszcza, gorliwością, siłą roboczą i rzeczywistym pożytkiem. Świadczą o tem dokumenty, jego korespondencya wojskowa, polska, saska, francuska, nadzwyczaj rozległa, bardzo rzeczowa, umiejętna, rozumna.

Naogół, więcej jest znana i ceniona sama strona uczuciowa, tak poważna i świetna w ks. Józefie, aniżeli jego prosty, zdrowy rozsądek. A przecież odznaczał się on, gdy było potrzeba, trzeźwym rozsądkiem, i to nietylko w swoim zawodzie wojskowym, lecz nieraz i w obcych mu całkowicie sprawach publicznych. W podobnych ma-

teryach na posiedzeniach Rady Stanu, zwykle słuchał uważnie i milczał; lecz kiedy czasem, spytany wprost o opinię, głos zabierał i zaczynał, jak zwykle, od słów: „ja w moim głupim rozumie sądzę“ — zawsze to jego zdanie tak dobrze utrafił w samo sedno, tak było zwięźle, jasno, dobitnie, a prosto z mostu wyrażone i uzasadnione, że najwytrawniejszych członków Rady wprawiało w zadziwienie i pociągało za sobą.

W 1809 r. rozpoczęła się wojna z Austryą. I on, syn feldcechmistrza austryackiego, syn Austryaczki, ruszył z lasku falęckiego pod Raszyn, a wkrótce potem zdobywszy go, ruszył na Galicyę. Witany z uwielbieniem w zdobytym Krakowie, po wawrzyny do Waraszwy nie ruszył, choć tu czekała go ukochana osoba i syn w grudniu urodzony. Ale już epopei Napoleońskiej zbliżał się tragiczny koniec.

Przyszła wiosna 1812 roku; książę Józef mianowany dowódcą armii Księstwa, w początku roku wyruszył w pole. W lipcu wziął komendę z rąk niezdolnego króla Westfalskiego nad prawem skrzydłem wielkiej armii.

Odtąd w walkach morderczych w marszu na Moskwę topniały szybko słabe kadry jego korpusu, wszędzie w straży przedniej forsowane: niknęły gwałtownie w strasznych przeprawach odwrotu, wysuwane dla osłony w straży tylnej. Z zakrwawionym sercem patrzył się stroskany książę na rzednące szeregi polskie, sam w najcięższych potrzebach obecny, zawsze w ogniu na czele. W odwrocie pod Wiazmą, w początku listopada, na rekonesansie padł z koniem w skoku i zwinął nogę.

Nad Berezynę przybył w przededniu katastrofy, wyczerpany od zimna i głodu. W połowie grudnia wrócił z niedobitkami swego wojska do Warszawy.

Pod Berezyną zachwiał się los młodego Księstwa Warszawskiego.

Zakończona tak fatalnie wyprawa moskiewska oznaczała dla Księstwa Warszawskiego katastrofę nietylko militarną, lecz nadewszystko polityczną. Przegrany został jego byt.

Na widok niesłychanej porażki Napoleońskiej zachwiał się rząd Księstwa Warszawskiego, zachwiały się najtęższe w nim głowy.

Skutkiem zdrady Austryaków — książę Schwarzenberg, zamiast osłaniać Warszawę, cofnął się za Wisłę — książę Józef zażądał wycofania się rządu do Krakowa i w lutym 1813 r. opuścił Warszawę na zawsze.

W Krakowie organizował gorączkowo armię — mimo namów ks. Antoniego Radziwiłła, aby porzucił przegraną sprawę Napoleońską. Ks. Józef wytrwał aż do końca.

Z Krakowa podążył na pomoc Napoleonowi do Saksonii. Przybycie jego było niespodzianką dla Napoleona. Cesarz bardzo na to nie liczył. Tem serdeczniej księcia powitał i wyznaczył mu jako dowódcy VIII korpusu armii francuskiej tę samą rangę co marszałkom Francyi.

Już 12 października w forpocztowem starciu, szarżując na czele pułku ułanów, książę Józef ranny był w rękę. W przededniu pierwszej walnej bitwy lipskiej, 15-go października z rana Napoleon przybył na prawe skrzydło i obwieścił armii, że mianuje Poniatowskiego marszałkiem Francyi.

Dnia 18-go października nastąpił dzień bitwy krytyczny, dla korpusu polskiego najgorętszy. Znów walka zawrzała od samego świtu. Poniatowski, przeciw dziesięciokrotnej przewadze, broniąc klucza swojej pozycyi, wsi Probstheidy, swoim zwyczajem prowadził osobiście w ogień po kolei bataliony dywizyi Izydora Krasińskiego. Utrzymał się raz jeszcze na eksponowanem stanowisku — ale ze stratą ogromną. Wieczorem Napoleon wydał rozkaz do odwrotu.

Groblą pół milową po przez ośm mostów rzuconych na Pleissie i Elsterze cisnęła się zwarta masa cofającej się armii.

Poniatowski trzyma straż tylną, całą noc czuwa.

Tutaj następuje obraz śmierci bohaterskiej księcia Józefa, którą znako-



Książę Józef Poniatowski w młodocianym wieku,
jako oficer wojsk austryackich.
(Wedle współczesnego portretu Józefa Grassi'ego.)



Kamień pamiątkowy, wystawiony na miejscu, z którego książę Józef Poniatowski skoczył do wody.

mity nasz historyk prof. Askenazy, temi opisuje słowy:

„Wstał zimny, wietrzny, pochmurny ranek 19-go października. Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nadrzecza, rozkładała po ogromnej równinie, przesycała oparami świeżej krwi, łączyła z mżącym gdzieniegdzie przejmującym do szpiku deszczem, z dymem palących się przedmieść lipskich i nieustających salw armatnich i karabinowych, tak gęsta, że o kilkadziesiąt stojąc kroków trudno było widzieć. Już cała prawie armia na drugą stronę przeszła, kiedy wtem, po 11 zrana, przedwcześnie wysadzony został w powietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Ks. Józef, mając przy sobie kilkuset ledwo ludzi, nagle został odcięty. Wycofał się on właśnie z zachodniego przedmieścia lipskiego, Borny, na czele szczupłej eskorty kirasyerów i krakusów, szarżując raz pa razie nacierających rojami tyralierów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał postrzał w rękę, lecz owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał. Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski i inni, wobec odciętego odwrotu i niemożności dłuższej obrony, błagali go, aby się poddał, osobę swoją dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, nawpół przytomny; odpowiadał na wszystko: „trzeba umrzeć mężnie.“

Rzucił się bez opamiętania wpław do Pleissy, ale już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Blechamp, w chwili gdy uwalniał się od tonącego konia, i



Pomnik ks. Józefa Poniatowskiego w Lipsku przy ulicy Lessinga.

wydobył na brzeg przeciwny. Ruszył ks. dalej pieszo do Elstery przez błotniste ogrody, już wszędy napełnione tyralierką nieprzyjacielską; tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok; słaniając się, padł w objęcia paru dotrzymujących mu jeszcze kroku oficerów; po chwili odzyskał przytomność, dosiadł z trudnością podanego mu świeżego konia, ale chwiał się na siodle. Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszów nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnem uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze.

Wtem, na widok nadbiegającej nieprzyjacielskiej piechoty porwał się nagle sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w plecy, osuwa się z konia i — znika pod wodą“.



Sypialnia księcia Józefa Poniatowskiego

w Jabłonnie pod Warszawą, letniem mieszkaniu księcia Józefa. Jest to obszerny pokój ubrany meblami w stylu pierwszego cesarstwa. Piękny portret księcia wierną kopię zamieszczamy jednocześnie), malowany przez Bernera w Warszawie, wisi nad szafką.

Po śmierci księcia Józefa Poniatowskiego przeszła Jabłonna na siostrzenicę jego, panią Wąsowiczową, a obecnie jest własnością Augusta hr. Potockiego.

Z wędrówki po Królestwie Polskiem.

Krasnystaw i jego okolice.

(Gub. Lubelska.)

(Dokończenie).

O milę od Krasnegostawu przy drodze bitej wiodącej do stacyi drogi żelaznej Rejowiec, leży wieś Krupe.



Typ włościanina z gubernii lubelskiej.

Miejscowość ta należała ongi do możnych panów, których nazwiska niejednokrotnie wspominają się na kartach dziejów naszych.

Wiersz zaś Jana z Czarnolasu o jednym z nich do dzisiaj jest popularnym. Brzmi on zaś:

„Król Jagiełło bił Krzyżaki,
„I pan Krupa chciał być taki.
„Na co porwał się nieboże!...
„Krupa Jagłą być nie może.“

Tyczy się on owego Krupy, który, nie chcąc uznać królem swoim Władysława Jagiełły, bronił się, jak niesie podanie, czas pewien przeciwko wojskom królewskim w drewnianej swojej warowni, istniejącej na schyłku XIV. wieku.

Ród Krupów herbu Korczak sławił się ze swojej rycerskości, między innemi, jeden z nich przyczynił się do ocalenia Jana Olbrachta, podając mu konia w bitwie pod Koszycami w roku 1491, gdy uchodził z pogromu. Zamek, którego ruiny dotychczas ocalały, wzniósł Samuel Zborowski na przekorę Janowi Zamoyskiemu, wówczas staroście krasnostawskiemu. Uczyniwszy

z zamku groźną warownię, zasiadł na niej burzliwy Samuel, gardząc wszelkiemi prawami, jakie mu król i stany, według jego rozumienia, narzucać śmiały.

Skazany na banicyę za zabicie Wapowskiego, Zborowski musiał opuścić swoją kryjówkę w Krupem.

Po śmierci Samuela Zborowskiego



Ruiny zamku w Krupem.

w Krakowie, dobra Krupy przeszły na własność córki jego Kunegundy Gnoińskiej. Syn jej Samuel Gnoiński, idąc w ślady zbuntowanego dziada, sprzyjając Szwedom, w czasie najazdu Karola Gustawa, bronił się jakiś czas w zamku krupskim, przeciw własnym współziomkom. Zamek został zdobyty i znacznie uszkodzony.

Po Gnoińskich właścicielami zamku Krupy byli Rejowie i Buczaccy. Po nich majątek Krupe przechodził w różne ręce, obecnie zaś został rozparcelowany. Ruiny zamku ocalały, lecz wątpimy, czy długo jeszcze utrzymać się będą mogły, z braku należnej opieki A szkoda, jest to bowiem śliczny zabytek dawnej struktury w Polsce, jeden z tych, na policzenie których omal że nie dziesięciu palców jest zawiele.

Opodal od zamku Krupskiego, na polach wsi Krynicy Krupskiej stoi takiej wielkości jak dom dwupiętrowy starożytny jakiś pomnik, niewiadomo dla kogo stawiany. Jestto od spodu budowa czworokątna, murowana, jakby wieża jaka, z półokrągłemi drzwiami do wnijścia, zakończona wyniosłą piramidą, której sam wierzchołek jest z ciosanego kamienia. Lud nazywa go w całej okolicy aryańskim grobowcem. Zdaje się, że to będzie grób jednego z Rejów, rodziny, która się długo bardzo nietylko reformy religijnej, ale i aryanizmu trzymała, albo może któregoś z Orzechowskich, bo i ci podobno byli czas niejakiś właścicielami Krupego. *Konrad Zaleski.*

Zaloty Maćkowe.

Ani o tem wiesz dziewczyno,
Ani o tem wiesz!
Żeś nad wszystkie mi jedyno,
Że o tobie myślę ino,
Dniem i nocką też
Najmilsza,
Dniem i nocką też!

Bo skąd tobie wiedzieć miła,
Bo skąd wiedzieć ci?
Że w tobie jest taka siła,
Co na mnie urok rzuciła:
Wszędzie tylko ty
Najmilsza
Wszędzie, ty i ty!

A jak ci mam wyrzec o tem,
A jak wyrzec mam?
Kiej serce bije jak młotem
I aż się zalewam potem,



Typy włościan z okolic Krasnegostawu.

Kiedym z tobą sam
Najmilsza,
Gdym jest z tobą sam!

Choćby do cię, w Imię Boże,
Choćby swacha szła:
To jak zamkniesz się w komorze
Spostponujesz mnie nieboże,
Tak mi się coś zda!
Najmilsza —
Oj! tak mi się zda!

A gdyby też u przelazu,
Zdybać, gdyby też?
Golnę przedtem dla kurażu,
No i spytam się odrazu:
Czy mnie aby chcesz
Najmilsza —
Czy mnie, Maryś, chcesz?

Po próżnicy wygwizduję
Jak ten w lesie kos...
Ona wódki nie lubuje
I odemnie wnet poczuje...
Los ci marny mój
Najmilsza!
Hej! marny mój los!

Chyba zagram jej od ucha...
Chyba zagram jej?
Może jak grania posłucha,
Wyrozumie mnie dziewucha,
Że nad wszystkie mi
Najmilsza,
Na cały świat mi!

Skrzypkę wziąć, niech za mnie gada,
Skrzypkę muszę wziąć...
Sama weźmie i zagada...
A ja: moją bądź
Najmilsza
Moją, Maryś, bądź!

Do księdza zaraz po sprzęcie,
Bym szedł, każ-że mi!
Cielaka mu dam w prezencie,
By dał ślub przy pierwszem święcie,
Bo aż mi się cni
Najmilsza...
Przez ciebie, aż cni!

Weselisko po tym trudzie
Sprawię, że to hej!
Jak o jakim wielgim cudzie
Będą rozpowiadać ludzie,
Tylko mnie już chciej
Najmilsza!
Tylko, Maryś, chciej!

A jak będę cię, nieboże,
Wieźć już do dom miał,
Pękawkę nową założę,
Aże pójdzie huk po borze!
Tak ci będę gnał
Najmilsza!
Z tobą do dom gnał!

Wójta prosić mi się zdarza
Choć to wielki pan!
A niechaj się nie uskarza,
Więc zaproszę i pisarza

Na weselny tan!
Najmilsza!
Na weselny tan!

Wiernie będę cię miłował
Wiernie z tobą żył
Toć żem ci jest chłop do pował,
Będę-ć pieścił i całował,
Kochał z całych sił
Najmilsza!
Hej! hej! z całych sił!

A jak będziem dzieci mieli —
Swarne jako skry!
Niechby dali to Anieli,
By to pierwsze po kądzieli
Takie jako ty
Najmilsza —
Było jako ty!

Ale chłopak niech nie we mnie,
Gdy Bóg da za rok!
Niech nie wzdycha potajemnie
Czasu nie traci daremnie,
Ale w gębę: cmok!
Najmilsza!
Zaraz w gębę cmok!

Nie będę cię bijał potem
Nie będę bijał!
Chyba — jak se wspomnę o tem,
Jak-em wystawał pod płotem,
Smykiem wywijał
Najmilsza!
Smykiem wywijał!

Z pamiętnika starego huzara.

Pułk nasz huzarski miał znakomitego trębacza — mówiliśmy mu wszyscy Marcin. Pułkownik go chwalił z potężnego jego dechu, my zaś wiedzieliśmy, że brzmiące te sygnały jego trąbki płyną tylko z powodu gniewu i złości i byliśmy przekonani, że gdyby to zależało od niego, byłby na polnej swej trąbce ani najkrótszego nie wygrał sygnału.

Z rana się złościł, że musiał pierwszy wstać, aby drugich pobudzić, na wieczór się gniewał, że pierwszy musiał być w koszarach, aby drugich zwoływać, przy ćwiczeniu zacinał zęby, że pułkownik więcej nim komenderuje, aniżeli szwadronem — kiedykolwiek tylko trąbił, był zagniewany, dlatego też trąbka jego tak głośno i wesoło brzmiała.

W koszarach znajdował się tylko tak długo, jak koniecznie musiał; resztę czasu przesiedział w pobliskiej karczmie, gdzie pilnie się starał o wybadanie przemysłu piwowarskiego. Był on nieszczęsnym człowiekiem, przyrodę uważał za swą matkę, a pułkownika za ojca. „Matka“ przyroda obdarzyła go suchem zawsze gardłem, a pułkownik „ojciec“ dawał mu tylko 6 groszy dziennie, tak że ubogi Marcin, pomimo, że wszystkie swe matematyczne mądrości wyczerpał, nie mógł dwóch tych iloczynów zrównać, tak, że gospodarz karczmy często musiał mu pomódz swą kredą w rachubie jego, a długi rząd kresek na drzwiach oznaczał, gdzie ostatni raz przestali w operacyi pokrętnego tego równania...

— Frącku! — zawołał pewnego razu gospodarz na syna — Marcinowi już nie będziesz nalewał! miara grzechów jego już się przepełniła.

— Ale ojcze, on przecie zapłaci! A gdy się żołnierze tutaj biją, on ich sam zawsze powyrzuca, aby tobie ujął pracy!



Grobowiec w Krynicy Krupskiej.
(Patrz art: „Z wędrówki po Królestwie Polsk)

Nie, aż zapłaci! a na tem koniec! — fuknął, tupnął nogą i przy ostatnim czynniku rachuby Marcina nakreślił osobliwszy znak, tak, że Frącek nic nie mógł dopisać.

Wkrótce potem huzar Marcin nadszedł, a Frącek mu opowiedział całą sprawę.

— No, ja wam jeszcze naleję — ale trzeba o tem zamilczeć!

Wlał Frącek porządną miarę i przyniósł, ale już nic więcej.

Marcin wypił piwo, a nieszczęście nauczyło go myśleć.

Myślał, myślał, nareszcie się uśmiechnął.

— Tak dobrze — ja potrzebuję piwa, a nie pałasza. Nadaremnie tylko człowiekowi ciąży. Rękojeść zatrzymam, a do pochwy wystrużę kawał drzewa. Trębacz nie potrzebuje szabli przez cały rok, tak samo, jak adjutant; chyba że przy jakiej bijatyce — ale od dzisiejszego dnia już się nie będę bił.

Poleciał do kramu żyda Mośka.

— Słuchajno Mośku, mam coś do sprzedania.

— Żołnierski tytoń z pewnością?

— Nie, szablę.

— Kupię, kupię, panie huzarze; ile za nią?

— Sześć złotych.

— Weźmij ją sobie — dawaj pieniądze! ale rękojeści ci nie dam.

— To też nie kupię!

— Nie!

— Hm, kupię!

Wojak wydobył pałasz, odśrubował rękojeść, a drugą część oddał żydowi.

— Teraz Mośku przynieś mi kawał drzewa.

— Na co?

— Nie pytaj się, tylko przynoś.

Żyd przyniósł deskę, huzar wydobył swój trzygroszowy nóż, ostrugał ją, wkręcił rękojeść, schował do pochwy i poszedł.

Dokąd?

— Prosto do karczmy.

Zawołał szynkarza, aby obrachował dług zapisany na drzwiach za picie. Szynkarz obrachował, powiedział mu, a on bez sprzeczki wydobył pieniądze, zapłacił i powiedział gościnnemu, aby na nowo wziął kredę do ręki.

— Dobrze, dobrze, ja wam znowu poczekam, Marcinie.

Tymczasem w karczmie znajdujący się koledzy trębacza dziwili się, skąd Marcin nabył pieniędzy; mówili to i owo, kręcili głowami, zaczęli się spierać, rozmowa stała się coraz głośniejsza, już powstali, brali za szklanki i stołki.

— Ja was tu pogodzę, wy gołobratkowie! — krzyknął Marcin i wyskoczył z poza innego stołu. — Wy się tu chcecie bić — co?

I w sprawiedliwym swym gniewie sięgnął po szablę, aby im dać naukę moralną — wyrwał z pochwy, zamachnął nad głowami — kawałem drzewa. Zapomniał nieborak o przyrzeczeniu, że już się bić nie będzie. Spiesznie wsunął „szablę“ do blaszanej pochwy, ale już zapóźno.

Ogromny śmiech wybuchnął w karczmie, a wnet wiedział cały pułk, ze trębacz Marcin ma drewnianą szablę. Wiedzieli huzarzy, wiedzieli oficerowie, dowiedział się i pułkownik.

Na drugi dzień Marcin został zawołany do kancelaryi pułkownika.

Wiedział już nieborak, o co chodzi i był pogrążony w największym smutku.

Zapukał do drzwi, wszedł.

— Hej huzarze! — zawołał pułkownik, trzymając innego żołnierza za kołnierz — ten tu człowiek zaczaił się tutaj — napadł na mnie — dobrze, że ty idziesz. Zabij go na miejscu. Dobądź szabli!

Marcin zawachał się.

— Słyszałeś? — dobądź szabli. Rozkazuję ci, abyś go przebił!

— Niech pan pułkownik mu przebaczy.

— Rozkazuję ci, abyś...

— Nie chcę przelać krwi mego kamrata — westchnął trębacz i pobożnie wzniósł wzrok ku niebu. „Ty zaś, święty Marcinie, patronie mój, pomóż i zapobiedź krwi przelaniu — uczyń cud, aby ostra moja szabla przemieniła się w kawał drzewa! Więc!...“

Schwycił za rękojeść i dobył drewnianej szabli.

— Widzisz, panie pułkowniku! stał się cud — człowiek ten niewinny, patron mój mnie wysłuchał.

Pułkownik się roześmiał i rzekł:

— No, to już dobrze Marcinie! Idź zgłoś się u strażmistrza, o nową szablę, lecz pamiętaj, że na drugi raz ani twój patron ci nie pomoże.

Sprawy ekonomiczne.

Cenne wskazówki dla rzemieślnika.

Najskuteczniej możnaby się przyczynić do popierania rzemiosła przez przyzwyczajenie publiczności, *aby płaciła gotówką.* Rzemiosło zgrzeszyło grubo i grzeszy dotąd tem, że zepsuło publiczność udzielając jej długiego kredytu — wskutek tego czuje się kupująca publiczność jak tego często mamy dowody, żywo dotknięta, nawet silnie obrażona, gdy rzemieślnik śmie przy odstawie swego towaru lub po ukończeniu swej roboty równocześnie przedłożyć rachunek. To samo dotyczy także drobnych kupców. Rzemieślnik, który długiego udziela kredytu, wyzbywa się swych pieniędzy obrotowych i popada w następstwie dla braku pieniędzy w zależność żydów wyzyskiwaczy. Zakupy rzemieślnika tak uzależnionego materyalnie wszystkie są droższe.

Rzemieślnik przeto *musi* być więcej *kupcem* czyli na wszystko patrzeć i wszystkie swoje interesy obrabiać tak jak to czyni dobry kupiec.

Jeżeli naprzykład chodzi o duże objekty, może i często powinien rzemieślnik zażądać *zaliczki. Zasadą być powinno* do każdej gotowej roboty dołączyć *zaraz* rachunek.

Udzielaniem *opustu* czyli *skonta* wpływa się także na to, że odbiorca płaci rychlej lub zaraz. Rzemieślnik powinien, skoro odbiorcy nie zna dobrze, natychmiast albo w banku jakim, albo w biurze wywiadowczem (Auskunfrei) zasięgnąć o nim bliższych informacyi.

Jest środek dogodny, ułatwiający rzemieślnikowi stosunek do odbiorcy, mianowicie *weksel.* Kupcy i fabrykanci dołączają częstokroć do gotowego towaru weksel, który odbiorca *musi* zaraz podpisać. U rzemieślnika tak się dzieje, że on zawsze stroną jest bierną, to jest, że on chyba weksel fabrykantowi podpisać musi, a sam od swego odbiorcy weksla żądać nie śmie, bo ani o tem nie pomyśli. A przecież ciągnienie weksla na kogoś daje różne dogodności rzemieślnikowi! Boć ten, kto dał weksel, już tak łatwo nie może robić wybiegów, a niechże by i robił, to proces wekslowy zapewnia szybkie załatwienie przez sądy.

Nie zawadzi wcale, gdy rzemieślnik zażąda *ręczycieli* na swoje pretensye. Są dwa rodzaje poręczeń, na co zważać należy. Przy jednych poręczeniach dopiero wtedy ręczyciela wolno pociągać do odpowiedzialności, gdy się dłużnika zaskarżyło i dowiodło, że tenże *nie jest wypłacalny.* Gdzie zaś ręczyciel stał się przy umowie *współdłużnikiem,* tam nie oglądając się na właściwego dłużnika, można zażądać zapłaty wprost od ręczyciela.

Zapewniają sobie różni rzemieślnicy mianowicie przy budowlach swoje pretensye *hypotekami.* Skoro rzemieślnik za wykonaną budowlę dłuższy czas nie otrzyma zapłaty, może na nią na budynek wnieść hypotekę swoją. Jeżeli dłużnik na to się nie chce zgodzić, może rzemieślnik przedłożyć sądowi poświadczenie, że robotę wykonał i na mocy tegaż poświadczenia hypotekę urzędowo na siebie kazać zapisać.

Niestety ostatniemi laty tyle nieuczciwa spekulacya zrodziła złego, że takie hypoteki częstokroć nie miały wartości. Więc sfery rzemieślnicze domagają się od rządu opieki dla siebie i nadania takim hypotekom pewności.

Innego rodzaju zapewnieniem pretensyi są *fanty.* Tu wymaga prawo cywilne wyraźnego wydania przedmiotu jako fantu. Jeżeli się zafantuje przedmiot, bez którego dłużnik obyć się nie może, natenczas można z właścicielem fantu zawrzeć kontrakt kupna. Mogą być zafantowane prócz przedmiotów także *pretensye* i *polisy zabezpieczenia na życie.* Przy tego rodzaju fancie może przyjmujący fant upewnić się, jaką jest rzeczywista watrość fantu.

Mandat sądowy (Zahlungsbefehl), który piśmiennie lub ustnie można wnieść do sądu okręgowego (Amtsgericht) także polecamy; jeżeli na tenże mandat dłużnik jest obojętny, można fantować.

W końcu i *samopomoc* jest środkiem, jeżeli mianowicie zatrzymuje się jakiś przedmiot wartościowy, dla braku jakiejkolwiek pewności. O tem atoli należy natychmiast powiadomić sąd.

Bądź jak bądź należy zaznaczać *bezustannie,* że wszelkie wysiłki rzemieślników muszą być skierowane ku temu, aby ukrócić wyzysk polegający na tem, że odbiorcy w nieskończoność nadużywają kredytu i *aby publiczność stale i konsekwentnie przyzwyczajać do kupowania za gotówkę.*

Dział kobiecy.

Karmienie niemowląt.

Pierwsze przyłożenie dziecka do piersi matki nastąpić powinno, gdy dziecko i matka wyśpią się a zatem w 8 do 10 godzin po porodzie. Pierwszy pokarm matki znakomicie działa na zdrowie niemowlęcia, bo mleko to. zwane siarą, zawiera w sobie dużo soli, która czyści przewód pokarmowy noworodka z nagromadzonej smółki. Wczesne przyłożenie dziecka do piersi matki chroni przed zbytnim napływem pokarmu u kobiet krwistych. Nie należy się zrażać i niepokoić, kiedy dziecko nie chce ssać, lub kiedy mało albo tylko kilka kropel wydobywa się z piersi. W takim razie jedyną radą jest karmienie dalej.

Przy karmieniu niemowlęcia zastosować trzeba pewne prawidła; karmienie oprócz pierwszych dni, podczas których dziecko upomina się o pożywienie mniejwięcej co 4—5 godzin, winno odbywać się co 3 godziny w ciągu dnia mniejwięcej przez 3 tygodnie. — później co 3 godziny. Dziecko należy przyzwyczajać wcześnie, aby przez noc obchodziło się bez piersi; tylko w pierwszych dwu tygodniach po porodzie lub kiedy matka ma tyle pokarmu, że wycieka i piersi obrzmiewają, można i w nocy, ale raz tylko pozwolić ssać dziecku. Karmienie częściej aniżeli co 2 godziny nie powin-

no się odbywać pod żadnym warunkiem, bo częstsze karmienie sprowadza zaległości w żołądku, z czego powstają zaburzenia i choroby przewodu pokarmowego. Dziecka nie należy budzić do ssania chociażby i dłużej spało, chyba, że bardzo lekko śpi, tak że naprzykład wyjęcie z kołyski już je rozbudza.

Po każdem nakarmieniu trzeba obmyć brodawki u piersi, a jamę ustną dziecięcia wytrzeć palcem owiniętym w czysty zwilżony wodą gałganek. Każdorazowe ssanie trwa około 20 minut, czas ten wystarcza do wyssania jednej piersi. Wymioty po ssaniu są bardzo częstą rzeczą u dzieci, a dowodzą, że dziecko za długi czas było przy piersi.

Ilość wyssanego za każdym razem mleka zależy od wieku i rozwoju dziecka, jest jednak w ogóle zmienna.

W pierwszym dniu wypija niemowlę za cały dzień do 2 łyżek stołowych. W drugim dniu wzrasta już ta ilość od 6—8 łyżek stołowych a z końcem tygodnia zużywa dziecko za cały dzień około pół litra; od 6-go miesiąca 1 litr dziennie. Dzieci przedwcześnie urodzone piją o wiele mniej, a z początku są nawet za słabe, aby ssać mogły. Pomaga im się w ten sposób, że się im wlewa łyżeczką do ust pokarm odciągnięty z piersi.

Karmienie trzeba bezwarunkowo przerwać, gdy matka w okresie karmienia na nowo zajdzie w ciążę, bo utrata sił niekorzystnie odbije się na rozwijającym się płodzie.

Szkoła złoczyńców.

Mimo walki władz włoskich z Camorrą, tajny ten związek rabusiów i szantażystów nie ustaje w działaniu. Na miejsce schwytanych zbrodniarzy wstępują nowi, przygotowani do rzemiosła we własnej szkole, w szkole Camorry. Ciekawe relacye o tem wylęganiu złoczyńców podaje jeden z dzienników włoskich. Brzmią one jak następuje:

Nie łatwo dostać się do Camorry. W skład jej wejdzie tylko ten, kto złożył dowody odwagi, stanowczości, sprytu. Ten tylko będzie pasowany na rycerza... który przejdzie przez szkołę Camorry. Mieści się ona w Neapolu.

Zjawiają się do niej mali włóczędzy, łotrzyki, którym puch jeszcze nie pokrył górnej wargi, małoletnie szumowiny społeczeństwa, które nie widzą w kradzieży nic złego, uważają ją za naturalne wyrównanie nierówności społecznych. Wszyscy marzą o zostaniu uczniami zawsze przepełnionej „Societa Riformata della Concordia,“ do której wpisowe wynosi tylko 70 centymów. Głównym warunkiem jest nietyle opłata, ile bezwzględna karność... A przedewszystkiem — przeszłość. Jeżeli uczeń ma za sobą kilka większych kradzieży, jeżeli blizny na ciele mówią o walkach, jakie staczał z policyą, jeżeli zwłaszcza ma na sumieniu jakieś niewielkie zabójstwo, to może być pewnym przyjęcia. Jeżeli jednak nie wsławił się dotychczas niczem, w takim razie zdaje egzamin wstępny.

Jest to pojedynek, który odbywa się nader uroczyście. Capo*) szkoły stoi na placu, trzymając w ręku trzy sztylety; przeciwnicy nie mogą się znać; obaj otrzymują broń, trzeci sztylet należy do capo. Obaj obnażają się do połowy ciała; warunek pojedynku jest taki, iż kluć wolno tylko w mięśnie ramienia, nigdy w pierś. Po pierwszej krwi pojedynek się kończy, a zwycięzca musi wyssać ranę pobitego. Najlżejsze wykroczenie przeciw zasadzie pojedynku, najlżejsze zadraśnięcie w piersi, ciosy zadawane po okrzyku: „Stój!“ i t. p. — mogą się źle skończyć dla przekraczającego reguły, gdyż capo ma prawo zabić go natychmiast. Jeżeli nowo przystępujący poniesie porażkę, może zdawać egzamin po raz drugi, jeżeli i wtedy nie odniesie zwycięstwa, skończy karyerę, musi próbować szczęścia na własną rękę jako wolnopraktykujący, dyplomem szkolnym Camorry nie opatrzony rabuś.

Aby uniknąć tak smutnego losu, kandydaci do „Academia Concordia“ udają się poprzednio na przygotowanie do doświadczonego fechmistrza na noże. Jednym z najgłośniejszych był Tobia Basile. Uczniów miał setki, z którymi przerabiał najtajniejsze arkana nożownictwa, ucząc ich za pomocą długich, cienkich nożów z drzewa, jak trzeba zadawać kryte sztychy, jak zwodzić przeciwnika, jak osiągnąć niezawodny skutek. — Tobia Basile to typ niezrównany. Postać jak z bronzu ulana, twarz o skórze pergaminowej, nos papuzi, oczy kłujące, jak ostrze noża, którym włada ręka... Po trzydziestu latach więzienia za morderstwo, popełnione w r. 1860, Tobia Basile, zamieszkał sobie spokojnie w małym domku niedaleko Fuorigrotta, który dzieli z bardzo niebezpieczną... żoną, osobą równie gadatliwą, jak zjadliwą, przed którą — jak wieść niesie — umyka nieraz z mieszkania!

*) *Capo* wyraz włoski, znaczy: głowa, naczelnik, zarząd.

Tobia zapoznał się w więzieniu z alfabetem i wkrótce zaczął pisać pamiętnik, w którym znajdują się codzienne krótkie zapiski, stylizowane poetycznie, z obrazami branymi przeważnie z botaniki. Tobia Basile był bowiem zapalonym ogrodnikiem-amatorem i uprawiał swój ogródek całymi dniami. To też w pamiętnikach czyta się np.: 1 maja: fiołki kwitną; 12 czerwca: przekopałem ziemię; 10 sierpnia: co za wspaniałe słońce!... 13 września: tysiące owiec przeciągało, dzwoniąc przed memi oknami.

Pewnego dnia towarzyszka Basila znikła bez śladu... Ktoby był pomyślał! W tym wieku! — skarży się biedak w pamiętniku. Sąsiedzi śmiali się, tembardziej, że wszyscy znali lekkomyślny żywot kobiety. Tobia wpadł na ślad uśmieszków sąsiedzkich i zamknął się w chałupie. Potem zmienił mieszkanie i zarabiał na życie po dawnemu, ale już sam.

Jak zarabiał? Miał tysiące rzemiosł, a każde złotodajne. Wciągał ludzi na fałszywą grę, był paserem, (miał u siebie formalne składy kradzionych rzeczy) a w wolnych chwilach dawał lekcye nożownictwa. Wolnych chwil nie musiało być wiele, gdyż uczniów miał setki. Nikt nie pamiętał już o żonie, która powędrowała w świat daleki...

Aż pewnego dnia zaczęto burzyć chałupę, w której dawniej mieszkał Tobia Basile. Po kilku ciosach oskardu ściana zaczęła pękać i oczom przerażonych robotników ukazał się — trup żony Basilego. Nawet rysy twarzy zachowały się, gdyż zwłoki leżały w wapnie, chroniącem je przed dostępem powietrza... Tobia został aresztowany pod zarzutem zamordowania żony.

Zrazu zapierał się stanowczo. Dowodów nie było. Na nieszczęście znalazł się sędzia śledczy dość sprytny, aby wziąć się do pamiętnika zbrodniarza. Czytał długo... same przenośnie kwiatowe i zachwyty nad ogródkiem. Na szczęście znalazł się w więzieniu jakiś były kamorzysta, który miał porachunki z Basilem i odcyfrował z całą złośliwością jego pamiętnik. Przenośnie kwiatowe straciły swój poetyczny urok... Okazało się, że można z nich wyczytać ilość i jakość skradzionych rzeczy, schadzek złodziejskich i napadów rabunkowych. A przedewszystkiem zdradził pamiętnik zniknięcie pani Basilowej... Dnia 7 maja 1900 zapisał Tobia Basile:

Nalałem wody na bób.

W języku Camorry znaczy to: zabiłem ją i zagrzebałem. „Profesor“ spostrzegł, że jest zgubiony. Opowie-

dział wszystko. Zabił żonę po wesołej uczcie, jednym ciosem. Właściwie kochał ją bardzo, lecz zatruwały mu pokój ustawiczne kłótnie małżeńskie, a w kłótniach to zwłaszcza, iż żona w pasyi przysięgała zdradzić go wraz z towarzyszami. I zabił żonę. Myślał, że się to ukryje, lecz nieubłagana Nemezis dosięgła go szybko. Szkoła Camorry traci swego najwybitniejszego nauczyciela.

Wskazówki i rady.

Jak długo spać należy?

Według znanego lekarza nerwów, profesora Krafft-Ebinga, niemowle powinno spać na dobę godzin dwadzieścia, dziecko starsze do dwóch lat — dwanaście, później do lat siedmiu — dziesięć, do roku dziesiątego — dziewięć i pół, do trzynastego zaś — ośm i pół godziny. Pracujący umysłowo powinni spać dłużej, aniżeli pracujący fizycznie.

* * *

Używanie przypraw do potraw.

Rozmaite przyprawy do potraw oddają smaku najprostszemu pożywieniu. Koper dodany do kartofli lub do barszczu zupełnie smak zmienia, tak samo jak kminek i czarnuszka dodane do chleba lub sera. Anyż dodany do ciast i placków z powodu olejku, jaki zawiera, robi to ciasto dużo pożyteczniejszem i słodszem. Majeranek do kiełbasy i baraniny dodaje zapachu i smaku wybornego. A mięta pieprzowa toć to błogosławiony środek na bóle żołądka. Po naparzeniu mięty i wypiciu ustają zaraz bóle, tak samo jak po okładach z wody gorącej. Nawet w czasie cholery ostudzona mięta bardzo skutecznie uspokaja bóle i nie dopuszcza żołądkowych spazmów.

Gospodynie, posłuchajcie dobrej rady i używajcie do wszelkich potraw jak najwięcej jarzyn — a przekonacie się, że wasi stołownicy od takiego pożywienia będą sytsi, niż od mięsa, a zdrowsi to najpewniej.

Rozmaitości.

Grzeczny radzca szkolny.

Podczas rewizyi w pewnej wiejskiej szkole w prowincyi Nassau zwrócił rewidujący inspektor szkolny nauczycielowi na to uwagę, aby dzieci nakłaniał do większej grzeczności. I tak grzeczność wymaga, aby dzieci każdą odpowiedź kończyły słowami: „panie radco szkolny.“ Ponieważ pad radca następnego dnia zrewidował szkołę w sąsiedniej wiosce, przeto nauczyciel, któremu się dostało owe napomnienie, zawiadomił swego kolegę o życzeniu pana radcy, aby miał czas dzieci przygotować na dobrą odpowiedź. Jakoż wszystko poszło jak z płatka. Pan radca egzaminuje, dzieci w lot odpowiadają, aż w końcu przychodzi na porządku egzaminu historya o upadku pierwszych rodziców. P. radca pyta: „Jakiemi to słowy odezwał się Pan Bóg do Adama?“ — W mig odpowiada zapytane dziecko: „Niechaj ziemia będzie przeklęta dla ciebie, panie radco szkolny.“ — Aby zatrzeć szybko wrażenie nad tą odpowiedzią, pyta p. radca dalej: „Cóż powiedział Bóg do węża?“ — „Na twoim brzuchu będziesz pełzać, panie radco szkolny“ — brzmiała odpowiedź dziecka. P. radca zwraca się do innego chłopca, aby dokończył słowa, wyrzeczone przez Pana Boga. — „Kurz połykać będziesz przez całe twoje życie, panie radco szkolny,“ — kończy drugi chłopiec. P. radca dość miał już tej grzeczności i szybko się wyniósł.

* * *

Potomkowie wielkich ludzi.

Pewien lekarz niemiecki sporządził niedawno sumienną i ciekawą tablicę objaśniającą do artykułu o wymieraniu utalentowanych i genialnych rodów, która zaczyna się od Mojżesza i doprowadzona jest aż do naszych dni. Okazuje się z niej, że potomkowie po „mieczu“ przeżywają rzadko trzecie pokolenie. Podajemy poniżej parę wyjątków z tej tablicy: Mojżesz miał tylko jednego syna, o którym znajduje się tylko jedna wzmianka w biblii. Dr. Reibmayer zauważa, że wobec wielkiej czci, jaką otaczano Mojżesza, jego dalsi potomkowie, gdyby istnieli, zostawiliby z pewnością jakieś ślady w biblii. Budda był kawalerem i nie zostawił dzieci. Podobnie Pytagoras, Thales, Solon, Plato, Demostenes, Herodot, Wirgili, Owidyusz i Horacy. Perykles miał dwóch synów, obu nicponiów, którzy umarli przed nim. O dzieciach Sokratesa twierdził Plutarch i Arystoteles, że były głupkowate, Aleksander Wielki zostawił jednego syna, którego zamordowano w parę lat po śmierci ojca. Męscy potomkowie Karola Wielkiego wygaśli w Niemczech już z Ludwikiem Dzieckiem, we Francyi jeszcze trwali trochę dłużej do r. 1005. Linia „po kądzieli“ utrzymała się natomiast dotąd i można ją wykazać. Mężczyźni z rodu Dantego wymarli w roku 1547, kobiety zaś żyją do dziś dnia w rodzinie hrabiego Serego Alighieri. Z synów Kolumba młodszy umarł w r. 1530. Następcy starszego syna wymarli w r. 1574. Kobiety z tego rodu żyły znów znacznie dłużej. Dr. Reibmayer dodaje: jeżeli się nie mylę, żyją one po dziś dzień. Rubens miał trzech synów, których potomkowie niedługo wymarli. Fryderyk Wielki nie zostawił męzkich potomków. Po Napoleonie został tylko jeden syn, książę Reichstadt, który zmarł bezdzietnie. Syn Goethego był patologicznym okazem, obaj wnukowie zaś zmarli bez potomków. Męska linia po Szylerze wygasła zupełnie w r. 1877, kobiety żyją dotąd pod nazw. v. Sziller-Gleichen-Russwurm. Mozart zostawił dwóch synów, zmarli w latach 1844 i 1859 bezdzietnie. Byron wreszcie nie miał męskiego potomka, zaś linia jego córki utrzymała się dotąd w kilku rozgałęzieniach. Z zestawień tych powstała tedy teorya, że sławne rody kontynuują się tylko w potomkach „po kądzieli.“

Z naszych wielkich ludzi ostatnich stuleci, Kościuszko był kawalerem, książę Józef podobnież. Szopen, Słowacki także. Natomiast potomkowie Krasińskiego i Mickiewicza żyją do dziś dnia, ale wnukowie tych wieszczów nie mają już dzieci.

* * *

Głodowa śmierć milionera.

Przed niedawnym czasem zmarł w Warszawie właściciel kamienicy przy ulicy Marszałkowskiej oraz majątków ziemskich p. St. Obecnie po spisaniu inwentarza okazuje się, że mienie, pozostawione przez nieboszczyka, wynosi z górą milion rubli. A tymczasem właściciel tej fortuny umarł z głodu, w literalnem niemal tego słowa znaczeniu. Nieboszczyk bowiem był tak skąpym, iż odmawiał sobie i najbliższym swoim grosza na najniezbędniejsze potrzeby życiowe. Z biegiem czasu sknerstwo to wzrosło tak, że kilkukopiejkowy wydatek stawał się częstokroć powodem burzy domowej. System ten doprowadził w końcu organizm starca do stanu zupełnego wycieńczenia, tak, że zapadł na tyfus głodowy, z którego już nie powstał. Dodać należy, że mieszkanie skąpca przedstawiało istny obraz nędzy i rozpaczy. W swoim czasie skąpiec doprowadził żonę do obłąkania.

* * *

Ręka Canovy.

Gdy wielki rzeźbiarz włoski, Antoni Canova, zmarł w Wenecyi, dn. 13-go

sierpnia 1822 roku, serce jego złożone zostało w kościele Frari, a prawa dłoń, która tyle stworzyła arcydzieł — w urnę kryształową spirytusem napełnioną. Urnę tę oddano do przechowania weneckiej akademii sztuk pięknych. Reszta zwłok artysty przewieziona została do Possagno, gdzie Canova, za życia, zbudował sobie grobowiec. Corocznie, w dniu rocznicy zgonu Canovy, dyrektor akademii weneckiej musi nalewać świeży spirytus do owej urny kryształowej i spisać protokół o stanie, w jakim dłoń Canovy znalazł. Pomimo wszelkiej troskliwości, dłoń ta, z biegiem lat, stała się bezkształtną bryłą ciała. Dyrekcya akademii, w porozumieniu z władzami miejskiemi, postanowiła zatem, ażeby w 105-tą rocznicę urodzin artysty, dnia 1-go listopada r. b., dłoń jego przewieść do Possagno i złożyć w trumnie, w której spoczęły zwłoki mistrza.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 20-go października 1506 ostatnia elekcya na księstwo litewskie Zygmunta I. — 1664 zdobycie Stawiszcza. — 1676 urodzenie Stanisława Leszczyńskiego.

Dnia 21-go października 1578 bitwa z Moskalami pod Gawą. — 1578 bitwa z Moskalami pod Kiesią. — 1458 bitwa z Moskalami pod Wełkami.

Dnia 22-go października 1603 wypędzenie Tatarów z Multan. — 1612 poddanie się Polaków w Kremlinie. — 1672 pokój buczacki.

Dnia 23-go października 1648 sejm elekcyjny. — 1824 aresztowania młodzieży w Wilnie.

Dnia 24-go października 1497 klęska od Wołochów na Bukowinie. — 1625 Szwedzi zrywają ugodę. — 1648 Kozacy ustępują z pod Lwowa.

Dnia 25-go października 1633 uwolnienie Smoleńska od oblężenia. — 1660 Jan Kaźmirz przybywa do Krakowa. — 1792 Targowiczanie tworzą swój rząd w Grodnie.

Dnia 26-go października 1706 bitwa ze Szwedami pod Kaliszem. — 1724 sąd w Warszawie na dyssydentów toruńskich.

Humor i satyra.

Zachęta.

Pan Dawid Procent jest agentem towarzystwa ubezpieczeń od wypadków i w ten sposób werbuje nowego klienta.

— Niech pan się u mnie ubezpiecza od wypadku, bo to złoty interes. Niech pan sobie naprzykład złamie rękę, to pan zaraz dostaje pięć tysięcy, a złamie pan nogę, to pan zaraz dostaje dziesięć tysięcy, a złamie pan kark i ręce i nogi, to pan jest panem całą gębą.

* * *

Miłe nadzieje.

Nazajutrz po ślubie młody małżonek pyta:

— No, a cóż ty, Halinko, zrobisz ze swoją suknią ślubną? Przerobisz, czy sprzedasz.

— E, nie. Ja jestem oszczędna i przezorna. Schowam ją — może mi się po raz drugi przyda.

* * *

Są zęby i zęby.

— Lutek! Ile zębów ma człowiek dorosły?

— Czy ja wiem? Moja mama ma aż dwa garnitury, a powiada, że oba do niczego!

* * *

Pięknem za nadobne.

— Pan masz potężne uszy... no!

— Prawda!? Ja zawsze mówię: moje uszy i pańska głowa, to był by osieł dopiero co się zowie!

* *

Przed bramą do nieba.

Biedny krawiec puka do nieba, a Piotr św. go pyta: Czyś był w czyścu?

— Nie byłem, alem miał złą żonę, była odpowiedź.

— Toś odpokutował na ziemi, mówi św. Piotr; chodź do nieba. Przychodzi za chwilę szewc i puka.

— Byłeś w czyścu? pyta św. Piotr.

— Nie byłem, ale i krawiec tam nie był, a wpuściliście go do nieba.

— Św. Piotr: Ale on miał żonę.

— Ja ich miał trzy, woła szewc: na cóż św. Piotr: Dla takiego głupca, co się trzy razy żeni, niema miejsca w niebie! wynoś się!

* * *

W kantorze żydowskim.

— Panie Izydor, pan poczebujesz sze nie spóźniacz do kantoru, pan poczebujesz nie nosić żółtych krawatów, bo ja tego nie lubię, pan poczebujesz nie mrugać okiem, bo to mnie denerwuje, pan poczebujesz nie stać, pan poczebujesz iść do roboty... no, na co pan czeka?

— Ja czekam, coby pan pryncypał powiedział, co ja poczebuje nie oddychać, to ja zara umrę...

* * *

Indyk i lis.

Ciężkie czasy, — lis mówił, — mój drogi indorku,
Pustki w brzuchu i w głowie, a największe w worku.
— No to u mnie jest lepiej, — rzecze indor z pychą,
Mam dość wielkie dochody i strawę nie lichą.
— Ach, jakiś ty szczęśliwy, — woła lis czemprędzej,
Właśnie miałem cię prosić, pożycz mi pieniędzy.
Niech ta bajka posłuży ludziom za naukę:
Oględni bądźcie w słowach, bo wam utną sztukę.

Zagadka trójkątna.

Ułożył czytelnik „Pracy“, Franciszek Chytry z Kobylina.

W następującym trójkącie:

a
a a
a a a
e e i n
n n n r r

ustawić litery w ten sposób, aby czytane wdłuż i z dołu do góry utworzyły jeden i ten sam wyraz.

1. Samogłoska.
2. Przyimek.
3. Imię hiszpańskiej królowej.
4. Sprawia ból.
5. Imię żeńskie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 26-go października włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie *uwzględnimy.*

Rozwiązanie łamigłówki z nr. 40-go: Pieniądz.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. Wanda Plucińska, Janek z pod Góry Przemysława, Marya Sobkowska; *z prowincyi:* pp. A. Szymanowski z Kostrzyna, N. Mikołajczak ze Śremu, F. Pankowska z Łabiszyna, Kostek Puknijsię z Mełpina, T. Wrembel z Rudek; *z Prus Zachodnich:* pp. L. Michalska ze Sztumu, W. Lipińska z Brus, B. Borowski ze Stargardu; *z Górnego Śląska:* pp. F. Szulik z Birtułtów, J. Knopp z Zabrza; *z Galicyi:* p. R. Rejman z Łąki; *z obczyzny:* pan J. Woźniak z Charlottenburga.

Nagrodę otrzymali: pp. Marya Sobkowska z Poznania, B. Borowski z Stargardu i J. Woźniak z Charlottenburga.

MICHAŁ BAŁUCKI.

Ostatnia stawka.

(6) (Ciąg dalszy).

To wszystko baron zapłaci. Nasza księżna bowiem jest tu w charakterze wdówki i baron ma nadzieję pozyskania sobie jej ręki. W takich warunkach niema ofiary, którejby nie zrobił. Uważa sobie za honor zastępować księżnę w wydatkach, uważa to jako dowód zaufania z jej strony. Ostatecznie idzie nam o wydobycie od niego większej sumy, co się zapewne stanie dziś lub jutro, a to w ten sposób: Baron uważa mnie za rywala, ale rywala nieszczęśliwego, którego udało mu się wyrugować z serca księżnej. Księżna utrzymuje go w tem mniemaniu, dała nawet delikatnie do zrozumienia, że chętnie zerwała-by ze mną, gdyby nie pewne zobowiązania, jakie ma dla mnie. Baron ciekawie dopytuje się o te zobowiązania, księżna niby nie może zdecydować się powiedzieć mu; ale ostatecznie dzisiaj powie mu, że, nie mogąc doczekać się pieniędzy z domu, zaciągnęła u mnie na swoje wydatki znaczną pożyczkę, i dlatego nie może zrywać ostatecznie ze mną, nie uiściwszy się pierwej z długu. Możemy prawie na pewno rachować, że baronek, aby się mnie całkiem pozbyć, będzie chciał wyręczyć ją w tym względzie, a wtedy role nasze będą skończone. Suma której księżna niby potrzebuje dla mnie, wynosi sześć tysięcy guldenów. Z tego wróci nam koszta nasze, resztę zachowa dla siebie.

— A co potem? Jakiż koniec tej komedyi?

— To nas już nie obchodzi. Antoinetta da sobie z pewnością radę; jeżeli nie złapie barona na męża, co łatwo nastąpić może przy głupocie i szusowatem usposobieniu jego, to będzie umiała zręcznie usunąć mu się z oczu.

— W każdym razie to jest oszustwo.

— Ale z tendencyą moralną — odrzekł wesoło Molski, — bo idzie o ukaranie barona za jego brzydki charakter. Taki cel uświęca środki. Zresztą widzisz sam, że nie spekulujemy w tej sprawie na żadne zyski, działamy bezinteresownie. Jedynie tę mam korzyść że rola tajemniczego kochanka księżnej nadaje mi pewne znaczenie między tutejszemi damami. Dobrze powiedział jakiś Niemiec, że interesownie. Jedynie tę mam korzyść, że rola tajemnicześmielszym do dam jej dworu. Coś podobnego dzieje się tutaj. Damy uważają sobie za szczęście, jeżeli chwile wolne od towarzystwa księżnej poświęcam którejkolwiek z nich i prawdziwie dumne są z tego, że mogą się sprezentować ze mną na spacerze. I jak tu nie drwić z takiego świata, nie bawić się kosztem głupoty ludzi! To też bawię się wybornie i nawet gotów jestem skorzystać z mojej dobrej pozycyi, to jest pogrzebać tutaj moje kawalerstwo, jeżeli tylko posag zabezpieczy mi zbawienie wieczne, czyli mówiąc językiem świeckim, da mi odpowiednie utrzymanie.

To powiedziawszy, puścił z fantazyą kłęb dymu przed siebie i, wstawszy, chodził w jego obłokach niebieskawych po pokoju. Naraz coś sobie przypomniał i, zatrzymawszy się przed Maurycym, zapytał:

— Kto to były te panie, z któremi byłeś wczoraj na balu?

Maurycy niekontent był z tego zapytania; zrobiło mu ono wrażenie takie, jakby ktoś natrętny i ciekawy szperał między notatkami i zaglądał w kryjówki jego; dlatego odezwał się i chłodno i krótko:

— Znajome moje.

— Dobre znajome zapewne, bo uważałem, że traktują cię *en famille.*

— Poznałem się z niemi dopiero parę tygodni temu.

— I razem przyjechaliście?

— Przypadkiem wypadło nam razem jechać — odrzekł Maurycy dość szorstko, by przerwać dalszą indagacyą, która go niecierpliwiła.

Ale Molski uparcie wracał do tego samego przedmiotu, i po chwili zapytał znowu:

— Te panie są z Podola?

— Nie wiem.

— Panna jest podobno siostrzenicą męża tej pani Solskiej?

— Powiedziałem ci, że nie wiem żadnych bliższych szczegółów. Nie byłem ciekawy dowiadywać się.

— A ja przeciwnie, dowiadywałem się i dowiedziałem się bardzo wiele; nie lubię bowiem obracać się wśród ilości nieznanych, szczególniej jeżeli idzie o piękną kobietę. A panna Julia jest według mnie czarująca. Nie ma klasycznych rysów, ale ma jakiś wdzięk nieopisany, który pociąga do niej. Znałem już dużo kobiet piękniejszych, a jednak żadna nie zrobiła na mnie takiego wrażenia od pierwszej chwili.

— Na długo? — spytał drwiąco Maurycy.

— To zależeć będzie od niej i od okoliczności.

— Więc myślisz korzystać z tej znajomości?

— A, bardzo naturalnie. Księżna lada chwila zniknie z Iwonicza z szczęśliwym baronem, będę więc zupełnie wolny i będę mógł cały oddać się towarzystwu tych pań, jeżeli tylko ty nie będziesz miał co przeciw temu.

Ostatnie zastrzeżenie dodał, widząc, że Maurycy zachmurzył się nieco.

— Ja? a cóż ja miał-bym za prawo zakazywać ci?

— Może masz jakie zamiary względem tej damy, w takim razie nie chciał-bym ci przeszkadzać. No, powiedz szczerze.

Przyparty tem zapytaniem, Maurycy nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie mógł wobec Molskiego przyznać się do słabości, rodzącej się w jego sercu, gdy sam przed sobą zapierał się tego. Zresztą, uważał sobie za upokorzenie rywalizować z takim, jak Molski, ubliżało to jego dumie. Nadto nie przypuszczał, żeby Julia mogła się zająć pierwszym lepszym lekkomyślnym trzpiotem, za dobre miał wyobrażenie o jej sposobie myślenia, by mógł posądzić ją o coś podobnego. Dlatego odpowiedział krótko:

— Nie; — i żeby przerwać już raz drażliwą rozmowę, zadał Molskiemu kilka pytań, tyczących się jego wycieczki do Monaco.

Molski zaczął mu opowiadać z zajęciem mnóstwo szczegółów z podróży, ciekawych epizodów z życia niektórych graczy, których dawniej spotkał w Wiesbadenie i Homburgu, a którzy teraz przenieśli się za boginią fortuny do Monaco, piorunując na Bismarcka, że ich zmusił do tak odległej podróży. Opowiadanie to zajęło dosyć czasu i było już pół do dwunastej, kiedy Molski pożegnał Maurycego.

Temu ostatniemu wypadało iść odwiedzić panie; obowiązek opiekuna, a po części i ciekawość skłaniały go do tego. Rad był dowiedzieć się, co było wczoraj powodem tak nagłego wyjścia z balu. Miał ochotę nawet zapytać się o to Molskiego, ale nie chciał zdradzić przed nim zbytniego zajęcia się temi paniami, zwłaszcza, że udawał przed nim, jako-by go niewiele obchodziły. Zebrał się tedy coprędzej i poszedł na górę.

Pani Solskiej nie zastał — udała się była do źródła. Tylko Julia wyszła do niego z drugiego pokoju, ubrana na-pół negliżowo i mając głowę owiązaną chustką. Chciał zapytać, co to jest; ale zanim miał czas to zrobić, Julia za-

częła pierwsza mówić tonem żartobliwej wymówki.

— Piękny z pana opiekun, niema co mówić. Ślicznie wywiązujesz się z przyjętych obowiązków.

A gdy Maurycy patrzał na nią wzrokiem, którym wyrażał, że nie rozumie powodu tych wymówek, dodała dla objaśnienia:

— Wczoraj mało brakło, że się nie zabiłam, a pan nic o tem nie wiesz dotąd prawdopodobnie.

— Rzeczywiście nie. Cóż się stało?

— Więc pan nie wiesz, że upadłam w tańcu i to tak nieszczęśliwie, że na chwilę odeszłam od przytomności. Tylko kok mnie ocalił od zupełnego rozbicia głowy o posadzkę.

Na to weszła ciocia.

— Opowiadasz panu o wczorajszym wypadku? — spytała wchodząc. — Rzeczywiście, to mogło się źle skończyć. Ja sama myślałam, że zemdleję, widząc jak upadła. Ależ bo to było w najszaleńszym pędzie, powiadam panu. Pędzili z tym panem Molskim, jak na złamanie karku. Szczęściem, że się skończyło na lekkiem potłuczeniu.

— I nieznośnym bólu głowy — dodała Julia. — I tu, i tu boli — mówiła dalej pokazując na skronie i na tył głowy. Dziś dopiero czuję wszystkie szpilki, które w chwili upadku wbiły mi się w głowę. Było to coś w rodzaju Madejowego łoża — zakończyła, śmiejąc się.

— I ja o tem nic nie wiedziałem! — odezwał się po chwili Maurycy, patrząc ze współuczuciem na Julią, przyciskającą ręką chustkę do szyi. — A, tego sobie darować nie mogę!

Pewnie pan bawiłeś się dobrze w wesołej kompanijce i zapomniałeś o nas.

Maurycy chciał zaprzeczyć temu i coś powiedzieć, ale się wstrzymał.

— Ale to dobry znak? — rzekła ciocia.

— Co takiego? Czy to, że pan Maurycy o nas zapomniał? — zapytała żartobliwie Julia.

— Nie. Że upadłaś. Kiedy panna Sulimierska na balu, na kontraktach w Kijowie upadła w tańcu z marszałkiem Więckowskim, wszyscy przepowiadali jej, że tego roku wyjdzie za mąż, i rzeczywiście wyszła, i to właśnie za marszałka. Odtąd teraz uważałam na podobne wypadki i zawsze się sprawdzały. Wszak ten pan Molski kawaler? — spytała, zwracając się do Maurycego.

To nagłe pytanie tak zastało go nieprzygotowanego, że zamiast odpowiedzieć, wytrzeszczył zdziwione oczy na ciocię. Nie spodziewał się tak dziwnego zwrotu. Ciocia była pewną, że niedosłyszał, i powtórzyła pytanie:

— Czy kawaler?

— Tak, kawaler — odrzekł machinalnie, nie mogąc jeszcze zebrać myśli.

— Podobno bogaty? — atakowała dalej ciocia.

— Nie wiem o tem.

— Ale ja dowiedziałam się już. Spotkałam się właśnie z jedną panią, która znała jego ciotkę, i ta udzieliła mi o nim kilka szczegółów. Ma być trochę lekki, utracyusz; ale czeka go znaczny spadek po stryju, na którym ciotka jego ma zabezpieczone dożywocie. Ciotka już staruszka i słabowita, więc po jej śmierci Molski będzie panem znacznej fortuny. Czy pan nic o tem nie słyszałeś od nikogo?

— Nic, wcale.

Maurycy mówił prawdę. Nigdy Molski nie wspomniał mu o tej sukcesyi i był-by ją niechybnie uważał za bajkę, gdyby nie to, że pani Solska przytoczyła mu nazwisko ciotki Molskiego i wieś, w której mieszka. Przypomniał sobie, że Molski rzeczywiście wspomniał mu to nazwi-
sko ciotki Molskiego i wieś, w której mieszka. Przypomniał sobie, że Molski rzeczywiście wspomniał mu to nazwi-
sko i nieraz jeździł na wieś, szczególniej gdy był w wielkich kłopotach pieniężnych. Mogło więc w tem być coś prawdy.

— Co to za miły człowiek, jaki uprzejmy dla dam, jaki wesoły, rozmowny! Dawno już nie zdarzyło mi się widzieć mężczyzny, który-by był tak dobrze pod każdym względem. A żebyś pan wiedział, z jaką troskliwością zajmował się wczoraj Julią po tym przypadku, jak o wszystkiem pamiętał. Zaraz pobiegł po wodę kolońską, sprowadził doktora. Wyszukał futra nasze, postarał się o powóz. Najbliższy krewny nie mógł-by się okazać z większą życzliwością. Doprawdy, Julciu, winnaś mu wielką wdzięczność. Gdyby nie on...

— Nie była-by panna Julia upadła — dokończył uszczypliwie Maurycy, który nie mógł strawić pochwał, sypanych przez ciocię z taką szczodrobliwością.

— O, złośliwy pan jesteś, panie Maurycy! — odezwała się Julia. — To się nie godzi. Czy to gniewa, że pan Molski jest grzeczniejszym od pana?

Maurycy chciał odpowiedzieć, gdy wszedł służący i zameldował pana Molskiego.

— Prosić, prosić! — zawołała ciocia z zapałem i zaczęła poprawiać przed zwierciadłem włosy i ubranie. Julia nieznacznie usunęła się do swego pokoju. Maurycy z pewną wdzięcznością spojrzał na wychodzącą. Cieszyło go, że nie została w pokoju i odeszła przed wejściem gościa. To dawało mu dobre wyobrażenie o jej znajomości ludzi, skoro, nie znając Molskiego, przeczuła wartość jego i unikała znajomości z nim. Ale wnet poznał, jak się fatalnie zawiódł w swoich przypuszczeniach, gdy zaledwie w kwadrans Julia wróciła do pokoju, już bez chusteczki na głowie, przebrana, odświeżona i z wielką uprzejmością powitała gościa. Ten zawód popsuł humor Maurycemu; nie mógł sobie darować, że był tak naiwnym i tak dobrze myślał o Julii. — Dlaczegoż — mówił sobie w duszy — miała ona być lepszą, niż inne? — Przyjęcie, jakiego doznał Molski od obu pań, drażniło go; każde uprzejme słowo, którem Julia odzywała się do przybyłego, kłuło go w serce, jak drut rozpalony. Było mu duszno w tem towarzystwie, gorąco, krew uderzyła mu do głowy. Wstał więc i, pod pozorem jakiegoś interesu, pożegnał panie. Nie próbowano zatrzymać go, tylko ciocia na odchodnem zapytała, czy nie będzie przypadkiem pisać do Edmunda?

— Czy pani ma mu co polecić?

— Chciałam go prosić, żeby był taki dobry zabrać dla mnie pudełko z magazynu.

— A ode mnie niech go pan prosi — rzekła Julia — o kupienie mi kwiatów do sukni balowej; mogą być żółte róże, lub inny jaki podobny kwiat. W tym względzie zdaje się zupełnie na gust jego.

— Doniosę mu o tem.

— Ale niech mu pan napisze, że bal jest trzeciego, żeby nie zwlekał przyjazdu ani o jeden dzień.

Maurycy przyrzekł to wszystko napisać i wyszedł. Schodząc ze schodów, rozmyślał nad tem, czy ostatnia uwaga Julii była zrobiona ze względu na Edmunda, czy na to, co miał przywieźć; czy jego, czy też kwiatów potrzebowała więcej na bal. Wprawdzie podczas drogi do Iwonicza Julia nie okazywała wcale wielkiego zajęcia się Edmundem, dość wyraźnie nawet mu to wypowiedziała; ale Maurycy powracał znowu powoli do dawnego przekonania, że niezawsze można wierzyć w to, co kobiety mówią, i najciekawsze, a może i najprawdziwsze jest to, czego nie mówią;

i gdyby kto na podstawie tego, co mówiła Julia, kazał wydać sąd o niej, był-by w kłopocie. Im więcej poznawał ją, tem niej znał. Czynności jej i słowa były dla niego ciągłemi niespodziankami, które zawodziły wszystkie jego wyrozumowane wnioski. Bo on rozumował na podstawie pewnej logiki, szukał konsekwencyi, a czynności kobiet albo mają całkiem odrębną swą logikę, albo może nie mają jej wcale i dlatego nic u nich naprzód obrachować, przewidzieć nie można. Kilkakrotnie miał sposobność przekonać się, że się omylił w najlogiczniejszych wnioskach swoich. Dziś świeżo miał przykład tego z kilku słów, które Julii przypadkiem wyrwały się, gdy była mowa o księżnie i jej kochanku; Maurycy mógł przypuszczać, że czuje pogardę dla ludzi lekkomyślnych i awanturników w rodzaju Molskiego, wyjście więc jej z pokoju uważał jako konieczne następstwo jej sposobu myślenia; tymczasem Julia wyszła tylko, aby zmienić toaletę, aby módz lepiej sprezentować się i wydać piękniejszą. Może coś podobnego jest z Edmundem. Może żywi dla niego coś więcej, niż prostą życzliwość, ale się z tem zdradzić nie chce i pod pozorem błahego sprawunku, chce mu dać poznać, że niecierpliwie czeka na przyjazd jego.

W każdym razie Maurycy wolał widzieć obok Julii Edmunda, cieszącego się jej względami, niż Molskiego. Być może, iż najbardziej wolał-by widzieć siebie; niektóre słowa Julii, zachowanie się ciotki, mogły wzbudzić w nim podobne nadzieje i to tak dalece, że zawód, jakiego doznał, sprawił mu pewien niesmak, gorycz w duszy; ale nie mógł, nie śmiał potępiać za to nikogo, prócz siebie, że może był zanadto łatwowierny i nadawał większe znaczenie wszystkiemu, co widział i słyszał. Nadzieje swoje nazwał nierozumnemi, i choć z bólem serca zgniótł je i zdeptał, w swojej klęsce pocieszał się tem, że nikt o tej słabości nie wie, prócz niego, że nie zdradził się przed nikim.

W tem usposobieniu umysłu napisał list do Edmunda. Nie rozpisywał się szeroko, nie wspomniał mu nic o Molskim, ani udzielił mu swoich uwag, ani spostrzeżeń z obawy, by za wiele nie powiedział; tylko poprostu zakomunikował zlecenia pani Solskiej i Julii prawie dosłownie, natrącił mu coś niecoś o szczęśliwej podróży, dobrem zdrowiu tych pań, dodał kilka ogólnikowych wiadomości o towarzystwie w Iwoniczu i zakończył list wyrażeniem nadziei rychłego zobaczenia Edmunda.

To rychłe zobaczenie miało nastąpić za dziesięć dni. Ale przez ten czas zaszły zmiany w położeniu rzeczy większe, niż przewidywał podejrzliwy umysł Maurycego. A mianowicie: najprzód Molski stał się odtąd nieodstępnym prawie towarzyszem pani Solskiej i jej kuzynki. Po nagłem zniknięciu księżny z horyzontu Iwonickiego, które nastąpiło właśnie w czasie przewidzianym przez Molskiego, ten ostatni przepędzał cały czas na pierwszem piętrze „Czarnego pałacu.“ Razem z temi paniami chodził do źródła, na spacery do lasu, odbywał z niemi dalsze nawet wycieczki do Odrzykonia, Rymanowa. Ile razy Maurycy przyszedł z wizytą do tych pań, to albo dowiedział się, że wyszły z Molskim, albo też, jeżeli były w domu, to napewno mógł wiedzieć, że i Molskiego zastanie. Ex-kochanek księżnej zaaklimatyzował się tam na dobre, był jak u siebie, a z ciocią i kuzynką umiał stanąć przez ten krótki przeciąg czasu na tak familijnej, poufałej stopie, jakby je znał Bóg wie odkąd. Nic nie robiono bez niego, do niego odnoszono się ze wszystkiem, radzono się i słuchano jego rady.

Maurycy z ukrytą niechęcią i ironią przyglądał się temu stosunkowi, oburzała go nieoględna łatwowierność, z jaką te panie przyjmowały w swój dom człowieka, którego nie znały prawie. Parę razy brała go ochota ostrzedz je, ale wstrzymała go od tego obawa, by Julia nie chciała fałszywie rozumieć jego życzliwości i nie wzięła ostrzeżenia za oszczerstwo, spowodowane zazdrością. Bał się cienia nawet takiego podejrzenia. Przytem uważał to za krok trochę nieuczciwy szarpać sławę choćby nawet takiego Molskiego i to bez powodu, bo to, że bywał w tym domu, nie dawało jeszcze powodu do takiego wystąpienia z zarzutami przeciw niemu i psucia mu opinii; zwłaszcza, że Molski okazał dla niego ze swej strony wiele względu i delikatności, bo zanim zaczął bywać u tych pań, pytał go, czy on nie ma jakich zamiarów. Odpłacić mu się za to obmową, wydawało się Maurycemu nieuczciwem. Uspokajał się jeszcze tem, że nie ma żadnego prawa, ani obowiązku być tak czułym na postępowanie tych pań i honor ich, i że wreszcie towarzystwo Molskiego nie może znowu tak tego honoru na szwank narazić, ani kompromitować, gdy i inne damy przyjmują go i chętnie widzą w swem towarzystwie. W miejscu kąpielowem robi się różne znajomości, które jednak potem do niczego nie obowiązują. Jeżeli Edmundowi nie będzie się to podobało, będzie mógł zrobić ze swej strony uwagę tym paniom; jemu to ujdzie. Aż do czasu więc przyjazdu Edmunda postanowił nie mieszać się całkiem w tę sprawę, a że widok Molskiego w towarzystwie Julii i poufałość, z jaką ją traktował, drażniła nerwy Maurycego, więc ile możności rzadko narażał się na podobne widoki, — pod różnemi pozorami, to chwilowej słabości, to zajęcia, wymawiał się od częstszego bywania u nich i trzymał się na uboczu.

Gdy wtem jednego dnia, siedząc w restauracyi, usłyszał parę osób, niedawno przybyłych do Iwonicza, mówiących o małżeństwie Julii z Molskim. Mało jednak przywiązywał wagi do tego gadania; zaliczył je do rzędu owych mnogich ploteczek kąpielowych, zaimprowizowanych przez uprzywilejowanych bajczarzy, celem bawienia towarzystwa. Ale po obiedzie, w sali bilardowej pijąc kawę, usłyszał tę samą nowinę, powtarzaną przez kilku młodych ludzi, grających w alagera. Wymieniali wyraźnie nazwiska osób, dzień zaręczyn i wiele innych szczegółów, tyczących się tego faktu. Maurycy nie mógł wyjść z podziwienia; nie przypuszczał nigdy, aby rzeczy taki obrót wziąć mogły. Znając dobrze Molskiego, był pewnym, że co najwyżej rozkocha pannę, wyłudzi jaki prezencik na wieczną pamiątkę, u cioci zaciągnie jakąś pożyczkę i świśnie jednego pięknego dnia bez śladu. Ale żeby miał na seryo myśleć o małżeństwie, to mu nawet przez głowę nie przeszło; chyba, gdyby liczył na majątek panny. Przypuszczenie to było o tyle prawdziwe, iż rzeczywiście chodziły po Iwoniczu pogłoski o znacznych dobrach na Podolu, o których jednak na pewno nie wiedziano, czy należą do cioci, czy do kuzynki. Jedni utrzymywali, że znaczny ten majątek jest własnością panny, a ciotka bawi tylko przy niej, jakby rodzaj damy do towarzystwa; inni znowu, że panna nic nie ma, ale ciocia jest bezdzietna i cały majątek po niej spadnie na pannę, jako jedyną sukcesorkę. W każdym razie była to partya nie do pogardzenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).